MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 11. WARSZAWA, 1 MARCA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

DRAMAT KONSTYTUCJI MARCOWEJ

WOBEC zbliżającej się debaty konstytucyjnej w Sejmie, sądzimy, że będzie może rzeczą pożyteczną zastanowić się beznamiętnie nad historją Konstytucji marcowej i objektywnie ustalić istotne przyczyny jej załamania się. Podobna „diagnoza" będzie mogła mieć nawet pewne znaczenie dla zrozumienia właściwego kierunku naprawy naszego ustroju.

Twórcom Konstytucji marcowej najrozmaitsze stawia się zarzuty. Często są one niesłuszne albo przesadzone i nie liczą się z szeregiem okoliczności, których uwzględnienie musiałoby niemało wpłynąć na treść ferowanych wyroków. Tem nie mniej, biorąc ogólnie, uznać należy Konstytucję marcową za dzieło stanowczo „niedoskonałe". Postaramy się to w krótkich słowach uzasadnić, wskazując równocześnie na istotne źródła słabości.

Przedtem jednakże pozwolimy sobie na małą dygresję. Podstawowym warunkiem stworzenia zdrowego ustroju państwowego, ustroju odpowiadającego istotnym potrzebom społeczeństwa — jest, zdaniem naszem, dostosowanie form ustrojowych do historycznej rzeczywistości społeczno-politycznej, do — wynikającego z dziejów narodu — układu sił, stanu kultury i zarysowujących się tendencyj rozwojowych. System odwrotny, polegający na dostosowywaniu tej rzeczywistości do form ustrojowych, może niekiedy, przynajmniej w pewnych specjalnych warunkach i w pewnym określonym zakresie, przynosić również dodatnie wyniki, trudno jest wszakże na podobnej podstawie mniej lub więcej abstrakcyjnych założeń ustrojowych budować porządek konstytucyjny państwa. Tak więc, dokładna znajomość rzeczywistości społeczno-politycznej, wsparta o historyczne doświadczenie, jak również o zdolność wyobraźni, pozostają drogowskazem niezawodnym.

Jeżeli z tego punktu widzenia oceniać będziemy Konstytucję marcową — dotrzemy może do istoty rzeczy.

Na czem polegał dramat tej Konstytucji? Na braku harmonji pomiędzy formą ustrojową a konkretnem życiem narodowem. Rozbieżność powyższa miała swój wyraz ogólny, społeczno-polityczny, a także specjalny, techniczno-prawny.

Jeśli chodzi o zagadnienie pierwsze, o charakterze ogólnym — istota rzeczy tkwi w tem niewątpliwie, że stan kultury społeczno-politycznej narodu polskiego, pozbawionego, przez półtora wieku blisko, własnego państwa, poddanego tak długo rozkładowym wpływom polityki trzech mocarstw rozbiorczych, pod wieloma względami zacofanego w ogólnym rozwoju — absolutnie nie odpowiadał ultrademokratycznym i liberalnym formom ustrojowym, zwłaszcza wobec faktu istnienia w granicach państwa licznych i nieprzyjaźnie nastrojonych „mniejszości", wobec bezpośredniego sąsiadowania z ogniskiem światowej akcji wywrotowej i wobec szeregu trudności, związanych w sposób konieczny z pierwszemi krokami odrodzonego państwa.

Ustrój demokratyczno-liberalny, wymagający dla zdrowego funkcjonowania dużej jednolitości i zwartości duchowej społeczeństwa, tudzież wielkiej, nieprzerwanej tradycji państwowej, łatwiej o wiele odpowiadać może potrzebom np. Francji albo Wielkiej Brytanji, jakkolwiek i tam ulega on

obecnie pewnym przeobrażeniom, natomiast zastosowany w Polsce musiał on dać — pod wieloma względami -- ujemne wyniki.

Inną jest rzeczą, że wiele czynników złożyło się na tę podstawowę „pomyłkę“ twórców Konstytucji marcowej. Brak własnej tradycji politycznej, bezpośrednich, własnych doświadczeń z zakresu ustroju (między rokiem 1921 a 1791, pomimo wszystko, wiele wody upłynęło w Wiśle), okres gwałtownych przeobrażeń społeczno-politycznych w Europie po zakończeniu wojny światowej, charakterystyczne dla każdej „wiosny ludów“ złudzenie i szereg innych przyczyn sprawiły, że ta rozbieżność między formą a rzeczywistością wydawała się mniejsza nawet tym, dla których Konstytucja marcowa była owocem smutnych, ale koniecznych kompromisów.

Obok powyższego zasadniczego niedostosowania — powodującego wyniesienie na powierzchnię życia politycznego żywiołów surowych, a częściowo nawet wręcz destrukcyjnych — w łonie samej Konstytucji marcowej mieściła się wewnętrzna sprzeczność o charakterze techniczno-prawnym, polegająca na tem, że z jednej strony Konstytucja opierała się całkowicie na koncepcji rządów parlamentarnych, wskazujących na parlament jako na główne źródło autorytetu i siły władzy wykonawczej, podczas gdy z drugiej strony zasady ordynacji wyborczej, stanowiące integralną część Konstytucji, były tego rodzaju, że utrudniały ogromnie wytworzenie się w Sejmie jednolitej większości, pozbawiając go w ten sposób zdolności wyłaniania rządu, któryby było stać na trwałą i konsekwentną pracę państwową.

W rezultacie mieliśmy przeważnie gabinety o charakterze napół urzędniczym, bez wyraźnego programu, lawirujące, bezsilne. Konstytucja marcowa, zawierająca w sobie niejako „od urodzenia” pierwiastek autodestrukcji, organiczną sprzeczność wewnętrzną, która niweczyła logikę całego systemu, nie mogła być uważana za ideał odpowiedniego dla Polski ustroju.

Ze zrozumienia niebezpieczeństwa zrodziła się na wiosnę 1926 r. większość polska, mająca tym razem poważne zadatki trwałości i konkretną myśl naprawy Konstytucji, większość z bezwzględną przewagą ugrupowań narodowych. Wówczas jednak nastąpił zamach majowy. I dlatego dramat Konstytucji marcowej, ułatwiający przewrót wojskowy, stał się równocześnie dramatem narodowej Polski.

Zamach majowy, wprowadzający rządy wojskowej dyktatury, z zewnętrznemi pozorami aprobaty ze strony przedstawicielstwa narodowego — utrzymał formalnie Konstytucję marcową, doprowadzając nawet do tego, dzięki specyficznym warunkom, w jakich się odbyły ostatnie wybory, że po raz pierwszy w odrodzonej Polsce zasiada dziś w parlamencie naszym stała większość. Tkwi w tem gruba ironja losu, jeżeli się zważy, że ów główny formalnie warunek zdrowych rządów parlamentarnych zrealizował się wówczas, kiedy sama zasada tych rządów została już faktycznie przekreślona.

Pomimo wszakże utrzymania formalnego Konstytucji marcowej i niemożliwości w chwili obecnej jej naprawy (projekt B. B. ideologicznemi podstawami swemi tkwi w dawnych błędach, a ponadto dodaje do nich nowe, niekiedy jeszcze niebezpieczniejsze), — jej „karjera życiowa” jest już, faktycznie przynajmniej, oddawna zakończona i powrót do niej, prosty powrót do dawnych stosunków politycznych z epoki „przedmajowej”, nie jest już i nie będzie w przyszłości możliwy.

W związku z tem, jak również w związku z błędnemi, niebezpiecznemi koncepcjami obozu majowego — tem usilniej wypada prowadzić dalej pracę myśli i walkę polityczną o ustrój narodowy w Polsce, organizujący w sposób należyty hierarchję jej sił moralnych i materjalnych.

ST. L-SKI

UWAGI O AKTUALNYM „KSIĘCIU“

(Z POWODU KSIĄŻKI P. A. CHRZĄSZCZEWSKIEGO)

(Dokończenie)

KRYTYKĘ obozu narodowego p. Chrząszczewski przeprowadza surowo, często błędnie, ale uczciwie i w przyzwoitym tonie. Przeprowadza ją w wielu miejscach swej książki.[1]) Aby ją zrozumieć, musimy się zapoznać z pozornie różną sprawą, a mianowicie tezą autora o dyktaturach.

W przeciwieństwie do dyktatur starożytnych— twierdzi autor — które z reguły siłę swą czerpały z oparcia na warstwach ubogich, wyzwalanych w ten sposób z pod tyranji arystokratycznej, dyktatura nowoczesna jest reakcją sfer wyższych (oświeconej burżuazji) przeciwko zalewaniu jej przez tłum ciemnych wyborców. Tak było z Napoleonem I, który stworzył nową arystokrację, tak jest z faszyzmem, dyktaturą jugosłowiańską i hiszpańską Alfonsa XIII. W Polsce również akcję dyskredytującą polski parlamentaryzm przeprowadziły prawie w całości nasze sfery nacjonalistyczno-burżuazyjne. Uczyniły to właśnie dlatego, że były burżuazyjne. Natomiast, jeśli nie doprowadziły akcji do końca i pozwoliły, ażeby konsekwencje z niej wyciągnął kto inny, to stało się to dlatego, że były nacjonalistyczne. (Str. 57)

„Ludziom uważnie obserwującym nasze życie polityczne“—pisze gdzieindziej—„rzuca się w oczy szczególna rola, jaką odgrywa w niem nacjonalizm,

[1]) strony: 9, 57, 127-8, 132-140, 142-3, 151, 155, 157, 164-5.

całkiem niepodobna do tej, którą obrały sobie nacjonalizmy w innych państwach jak np. we Włoszech, Francji i Niemczech.[2]) Wszędzie nacjonalizm usiłuje stworzyć tamę przeciwko niwelującym wpływom liczby, wszędzie walczy energicznie z klasową polityką warstw najliczniejszych i dlatego wszędzie wysuwanie haseł narodowej polityki prowadzi go do zwalczania zasady ludowego wszechwładztwa i do wyniesienia rządów w państwie ponad walki partyjne a więc w konsekwencji do monarchizmu. Wprawdzie i u nas są nacjonaliści, którzy się do tego skłaniają (ale)... jeśli chodzi o praktyczną politykę, to dążenia ich zmierzały i obecnie zmierzają w zupełnie odwrotnym kierunku". Tu następują przykłady „najskrajniejszego radykalizmu" w dziedzinie ustrojowej, a mianowicie projekt konstytucji Związku Ludowo-Narodowego, zgłoszony przez prof. Głąbińskiego w sejmie oraz mowy ówczesnych przywódców obozu narodowego w czasie debaty konstytucyjnej.

W tej krytyce jest nieco racji, ale oto czem autor tłumaczy te „niekonsekwencje"? „Ażeby się o tem przekonać" — mówi — „uprzytomnijmy sobie różnice między taktyczną pozycją, którą nacjonalizm zajmuje w życiu politycznem narodowo jednolitego organizmu państwowego, a rolą, którą zmuszony jest odgrywać w państwie o znacznym odsetku żywiołów obcoplemiennych. W państwie narodowo jednolitem nie ma on żadnych lub tylko słabych wrogów wewnętrznych do zwalczania i dlatego cała jego energja zmierza ku zaostrzeniu czujności państwa wobec wrogów zewnętrznych. W polityce zagranicznej jest on przeniknięty imperjalizmem, w polityce wewnętrznej dążnością ku usprawnieniu organizacji państwa do walki nazewnątrz, a więc przeciwstawia się energicznie zarówno dezorganizującemu państwo wielowładztwu, jak klasowej, eksperymentującej socjalnie i gospodarczo polityce. Pozostając zazwyczaj w mniejszości (brak obcoplemiennych elementów, t. zw. wroga wewnętrznego, nie pozwala mu zapanować tak dalece nad psychologją mas, ażeby się rozrosnąć do rozmiarów wielkiego stronnictwa), jest zdecydowanym zwolennikiem uniezależnienia władzy państwowej od parlamentarnych stronnictw, a niekiedy dąży nawet do rządów mniejszościowych i dyktatury, jego ponadklasowe stanowisko czyni go bowiem najodpowiedniejszem stronnictwem do jej sprawowania.

Inaczej nacjonalizm w państwie narodowo niejednolitem, o znacznej przymieszce żywiołów obcoplemiennych. Przedewszystkiem w polityce zagranicznej cechuje go brak imperjalistycznych dążności,[3]) ponieważ rezultatem ich urzeczywistnienia byłoby zwiększenie żywiołów obcoplemiennych w państwie i dalsze osłabienie jego charakteru narodowego. W polityce wewnętrznej jego dążenia są rozdwojone. Z jednej strony zasadnicza koncepcja narodu i państwa jako organizmu odpycha go od ludowładztwa... z drugiej... popycha go tam łatwość opanowania nastrojów mas, pozostających pod grozą wroga wewnętrznego, połączona z niemożnością dojścia do władzy na drodze dyktatury, która, gdyby była nacjonalistyczną, zbyt wielkie trudności miałaby do zwalczenia, mając przeciwko sobie nietylko lewicę społeczną, lecz także od góry do dołu zmobilizowane przeciwko niej mniejszości narodowe. Stąd owo sprzężenie teorji o polityce silnej ręki z praktyką popierania parlamentaryzmu i ludowładztwa, stąd połączenie hasła walki z radykalizmem z przejęciem i stosowaniem radykalistycznego programu w polityce społeczno-gospodarczej za każdorazowym dojściem do władzy lub wpływów".

Ciekawa to próba wytłumaczenia taktyki polskiego obozu narodowego, ale, zdaniem naszym, bardzo jednostronna. Nie chcemy twierdzić, że motywy, które autor przytacza, nie grały roli. Owszem, łatwość wytworzenia ruchu masowego, połączona z trudnościami dyktatury w Polsce, stwarzała w obozie narodowym podatny grunt do taktyki parlamentarnej z jej nieuniknionemi słabemi stronami. Jeśli jednak nasz obóz wszedł na tę drogę, to działało tu wiele innych czynników, których pan Chrząszczewski nie bierze pod uwagę [4]).

Należy mieć na uwadze, że ruch narodowy polski powstał w okresie niewoli i miał za zadanie wydobyć ze społeczeństwa wszystkie siły do walki z zaborcami. To, oprócz szeregu drugorzędnych przyczyn, uczyniło go demokratycznym: w ludzie szukał odrodzenia duchowego, lekarstwa na trójlojalizm ugodowców [5]). Okazało się, że chłop polski trzeźwy, chciwy, przyziemny, posiada jednak w sobie niedoceniane dotąd walory, któremi odbija częstokroć korzystnie od warstw wyższych. Dmowski pisał w 1902 roku: „W chwili obecnej, kiedy u podstaw, w szerokich masach zaczynają się zjawiać elementy nowej polityki narodowej, naród nasz zdobywa w nich świeżą, szeroką podstawę moralno - politycznego odrodzenia". Że ten zdrowy demokratyzm pomieszali przywódcy Związku Ludowo-Narodowego z wiarą w zbawienność ustroju demokratyczno-parlamentarnego, to już wpływ ducha epoki, zdarzeń z roku 1918 i szczególnych warunków, w jakich się Polska znajdowała.

---

[2]) Autor popełnia w swej książce błąd charakterystyczny dla swej umysłowości. Traktuje on nacjonalizm jako pewną doktrynę, ścisłą i skrystalizowaną, zasadniczo jednakową dla wszystkich państw. Zapomina, że t. zw. „nacjonalizm polski" niewłaściwie jest tym terminem nazywany. Lepiej odpowiadają mu nazwy: „polska idea narodowa", „polska racja stanu", lub poprostu „polityka polska". Kierunek nasz nie jest żadnym „izmem" w rodzaju „socjalizmu". Co nas np. łączy z ruchem hitlerowskim, prócz zrozumienia niebezpieczeństwa żydowskiego?

[3]) Twierdzenie to nie da się przyjąć bez wątpliwości. Pomijając niejasność terminu „nacjonalizm", którym autor operuje i przyjmując nawet dziennikarskie, potoczne i powierzchowne oznaczanie tą nazwą różnych częstokroć swą istotą ruchów, nie możemy pominąć faktów, które przeczą tezie autora. Nacjonalizm Niemiec cesarskich (a więc państwa niejednolitego narodowo) był imperjalistyczny i szowinistyczny, tak samo w dużym stopniu rosyjski. Autor zapewne uznaje istnienie „nacjonalizmu" amerykańskiego: otóż i on jest imperjalistyczny. Natomiast w jednolitej narodowo Anglji (Irlandja już nie jest problemem wewnętrznym) nacjonalizm reprezentuje nietylko imperjalista Kipling, lecz Chesterton, autor książki o „Zbrodniach Anglji". Również i Maurras we Francji energicznie odżegnywa się od imperjalizmu.

[4]) Autor „Od dyktatury do sejmowładztwa" ma wogóle skłonność do schematyzowania i logizowania zagadnień. Daje to rezultaty niewątpliwie efektowne, ale często nieścisłe. Życie nie jest bynajmniej schematyczne, a często i nie logiczne. Należy pamiętać o dwóch zasadach: 1) że podobne skutki mogą być wywołane przez zgoła różne przyczyny i 2) że ludzie często postępują pod presją okoliczności, wpływem wypadku, nerwów, czasem zupełnie irracjonalnie.

[5]) Objaw to nierzadki w dziejach ludów podbitych. Pamiętając o zasadzie „*Comparaison n'est pas raison*", wskazać jednak możemy na ruch narodowy egipski (*Wafd*), który w przeciwieństwie do uległych Anglji, bo mających wiele do stracenia, warstw wyższych, opiera się na szerokich masach ludowych. Podobne, demokratyczno-nacjonalistyczne tendencje przejawia, zdaje się, ruch Gomindanu w Chinach, przynajmniej w swym prawicowym odłamie (Dżan-Kaj-Szek).

Pożyteczną jest rzeczą przypomnieć sobie atmosferę duchową, która panowała w Polsce w okresie wojny europejskiej. Narzucanie nam przez okupantów ustroju monarchistyczno-arystokratycznego dyskredytowało te formy w opinji ogółu. Przedmiotem uwielbienia była natomiast republikańska i parlamentarna Francja, bożyszczem — prezydent Wilson z całym bagażem frazesów demo-liberalnych. Ich zwycięstwo dało nam niepodległość.

Jednocześnie w kraju największą troską narodowej demokracji było zmobilizowanie przeciwko Niemcom całego społeczeństwa. Nie było zaś winą obozu narodowego, że warstwy przodujące społecznie okazywały najmniej rozumu politycznego i angażowały się ugodowo w aktywizm. Warto o tem pamiętać przy porównywaniu „nacjonalizmu“ polskiego z takim np. francuskim [6]).

Skierowawszy swój cały wysiłek przeciwko Niemcom, polski obóz narodowy wyciągał dłoń do wszystkich Polaków, szukając sprzymierzeńca nawet w niedawnych wrogach. Nie chciano t. zw. „pasywizmu” identyfikować z przekonaniami jednej partji. Świeżo ogłoszone w „Myśli Narodowej“ wspomnienia prof. Głąbińskiego rzucają jasny snop światła na taktykę narodowców w tych czasach. Wyciągnięto dłoń do rodaków ze wszystkich stronnictw, nawet do Piłsudskiego. Rząd Świerzyńskiego oświadczył przedstawicielom b. Galicji (na interpelację Daszyńskiego), że sejm polski zwołany będzie z końcem grudnia 1918 roku na podstawie demokratycznej ordynacji wyborczej. Wszczynanie kłótni ustrojowych w chwili, gdy granice państwa nie istniały, a w kraju siedział okupant, uważano słusznie za potworność.

Później, wśród walk na froncie i organizowania się młodego państwa, wśród ustawicznych sporów z obłędnemi koncepcjami federalizmu, obóz nasz nie miał czasu na przemyślenie kwestyj ustrojowych, tak jak go zresztą nie miał od 1914 roku. Czyż można się dziwić, że nie stworzył własnych koncepcyj, *notabene* w czasach, gdy w Europie jedyną formą ustroju był parlamentaryzm? Jeśli się w dodatku zwróci uwagę, że rządów prawdziwie parlamentarnych nie było do roku 1923 [7]), a skrajnie radykalne elementy w izbie czerpały swą siłę do walki z większością polską z oparcia o szefa władzy wykonawczej — to w tej paradoksalnej sytuacji nie mogła narodzić się łatwo myśl przebudowy ustroju.

Ujemne cechy rządzącego parlamentu ujawniły się, w całej swej nagości, dopiero w następnym okresie. Jeśli obóz narodowy, przeprowadziwszy w swych organach surową krytykę tego stanu rzeczy, przyczyniwszy się do wzmocnienia w społeczeństwie nastrojów antyparlamentarnych, nie wyciągnął z tych faktów należytej konsekwencji, to przyczyna tego nie jest taka prosta, jak to się zdaje p. Chrząszczewskiemu.

Jakie było tło przewrotu faszystowskiego we Włoszech? Autor „Od sejmowładztwa do dyktatury“, analizując ten ciekawy ruch, przeoczył ważny szczegół. Otóż przed marszem na Rzym, Włochy stały na skraju przepaści. Prawie już pewny przewrót komunistyczny godził nietylko w interesy burżuazji, ale i w najświętsze hasła miłości ojczyzny. Bandy rewolucyjne znieważały oficerów, zrywając im odznaczenia wojenne, lżyły inwalidów, paliły sztandary narodowe. Poza faszyzmem nie było ratunku. Zrozumiała to armja, której milczące, ale wyraźne stanowisko skłoniło króla do odmowy podpisu na akcie oblężenia. Wcześniej jeszcze zrozumiała to młodzież narodowa, bez której poparcia „Mussolinizm“, nawet subsydjowany przez przemysł, nie dokonałby przewrotu tak łatwo. Z drugiej strony względy polityki zagranicznej nie przeszkadzały w dokonaniu zamachu. Było rzeczą nieprawdopodobną, aby np. Jugosławja korzystała z przewrotu dla anektowania Fiume.

Mniej oczywista była konieczność przewrotu w Hiszpanji, co też się odbiło na losach dyktatury. I tam jednak jednym z ważniejszych motywów zamachu Primo de Rivery były haniebne porażki w Marokku, porażki nie zagrażające wprawdzie życiu narodu, ale zato boleśnie szarpiące dumę hiszpańską. Oparcie o króla, nastroje w armji, a przedewszystkiem położenie geograficzne kraju otoczonego morzem, górami, mającego za bezpośredniego sąsiada jedynie słabą i przyjazną Portugalję, usuwało nieomal wszelkie ryzyko zamachu dla państwa.

Jakże inne było położenie Polski! Kraj pozbawiony granic naturalnych, otoczony silnymi i nienawistnymi sąsiadami, szukającymi, zwłaszcza zachodni, byle pozoru dla aneksji ziem polskich, wewnątrz zaś kraju brak poważniejszego niebezpieczeństwa komunistycznego w związku z omawianym już przez nas wzrostem zrozumienia spraw państwowych ze strony powoli się cywilizujących stronnictw — wszystko to razem skłaniało obóz narodowy do unikania ryzykownej, zwłaszcza wobec rozdarcia w armji, drogi przewrotu i dyktatury. To samo zaważyło i podczas wypadków majowych. Niewielu ludzi zdaje sobie dziś sprawę z tego, że zwycięstwo w 1926 r. zawdzięcza Józef Piłsudski przedewszystkiem trosce obozu narodowego o Gdańsk i Pomorze.

Jeśli zaś zważymy okres od maja 1926 roku aż do niedawnych wyborów sejmowych, to również stanowisko obozu narodowego w sprawach ustrojowych okaże się nam jako konsekwentnie wypływające z warunków politycznych. Tylko bardzo powierzchowny obserwator może twierdzić, iż walka między rządami „pomajowemi“ a opozycją toczy się o kwestje ustrojowe. Jeśli co złączyło we wspólnej opozycji żywioły tak różne, jak prawica i lewica, to bynajmniej nie wspólne ideały parlamentarne, ale przesunięcie płaszczyzny walki i zagadnień politycznych w dziedzinę moralną. Przyczyną główną było zgrupowanie naokoło jądra obozu majowego elementów o tendencjach zupełnie sprzecznych, od głoszących poglądy kato-

[6]) We Francji istnieje godna podziwu arystokracja, czerpiąca swe tytuły z nadania monarchji narodowej, swą dumę z zasług, położonych na polach bitew lub w dziedzinie zarządu krajem, skłonna zawsze do ofiar w imię dobra narodu. U nas warstwy przodujące, pyszniące się tytułami, pochodzącemi od zaborców, dawały w swym dużym odłamie najpierw przykład służalności obcym (1870 — 1918, trójlojalizm, ugoda, aktywizm), później zaś w niepodległej Polsce (zwłaszcza od 1925); — wzór polityki klasowej, ciasno „burżuazyjnej“. Brak naturalnej, a stojącej na wysokim poziomie politycznym elity tem bardziej podsycał tendencje demokratyczne w obozie, który programowo, a nie ze względów taktycznych używał nazwy Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego.

[7]) Rząd Moraczewskiego odpowiedzialny przed Naczelnikiem Państwa, następne rządy z ministrem wojny, a częściowo i spraw zagranicznych (Patek, Sapieha), niezależnym od sejmu, rządy wyjątkowe w 1920 r., rząd Ponikowskiego obalony mimo większości w sejmie, Korfantego niedoszły do skutku mimo tejże większości, Śliwińskiego mianowany wbrew sejmowi, Nowaka z większością sztuczną, wywołaną presją Naczelnika Państwa i rząd Sikorskiego o charakterze wyjątkowym.

lickie i monarchiczne konserwatystów aż po wcale duży odłam socjalizmu. I chociaż dzisiaj grupy te organizacyjnie roztapiają się powoli w jednej masie Bezpartyjnego Bloku, to dzieje się to ze względów taktycznych, a nie ideowych. Grupy te złączyły się bowiem dla wspólnej korzyści, oczekiwanej z dostępu do administracji państwowej. Dziś, wobec ciężkiej sytuacji finansowej i trudniejszego przez to dostępu do tak wulgarnie nazwanego „koryta", tłum z rozproszonego staje się bardziej zwarty, każdy bowiem pragnie być bliżej w obawie odepchnięcia. Tego rodzaju ruchu nie można jednak nazwać ideowym, ani programowym. Tak więc element polityczny, w głębszym ujęciu tego słowa, nie stanowi zasadniczego składu chemicznego obozu majowego. Ta okoliczność *ipso facto* zaciera sprzeczności ideowe również i w łonie opozycji.

Z drugiej strony owe ugrupowanie się obozu majowego na płaszczyźnie interesu i nieuchronne tego konsekwencje doprowadziły ten obóz do tak swoistej psychiki moralnej, że wszystko, co się na nią nie godziło, bez względu nawet na pobudki, znalazło między sobą wspólny język. Sprawa brzeska oświetliła jaskrawem światłem to, co dokonywało się niewidocznie już conajmniej od 1928 roku: podział społeczeństwa na dwa odrębne światy moralne. Nie zachwycając się bynajmniej wszystkiemi odłamami opozycji w Polsce, stwierdzić trzeba, iż w ogniu dramatycznych przejść oczyściła się ona z wielu dawnych win i błędów, gdy natomiast obóz majowy z tragiczną wprost koniecznością obrastał w coraz mniej moralnie wartościowy element. To też można go, jeśli się zważy na wartościowy moralnie materjał młodych idealistów z drużyn strzeleckich, porównać do bryłki złota, puszczonej przez złośliwego demona w fałszywym kierunku, na błotniste zbocze, po którem tocząc się, spada wreszcie jako olbrzymia kula, zgubiwszy złote swe jądro po drodze. Na te przemiany duchowe walczących obozów zwrócić należy baczną uwagę, jeśli się chce zrozumieć obecne zmagania się polityczne w Polsce. Nie docenia tego p. Chrząszczewski, obierający amoralizm jako punkt wyjścia.

Obóz narodowy w okresie pomajowym walczył o prawo kontroli nad gospodarką rządową, zaś obóz rządowy o uniknięcie tej niemiłej dlań rzeczy. Te a nie inne momenty odgrywały rolę w projektach konstytucyjnych zeszłego sejmu, z których żaden nie miał na celu istotnej i radykalnej naprawy ustroju, gdyż wnioski opozycji z natury rzeczy charakter swój dostosować musiały do projektu rządowego. Składanie przez klub narodowy projektów, idących w kierunku nieodpowiedzialności parlamentarnej rządu lub jakichkolwiek innych, któreby w konsekwencji utrwalały panowanie obozu majowego, byłoby doktrynerstwem i naiwnością, podobną do systemu obrony przed rozjuszonym gorylem przy pomocy czytania mu na głos katechizmu.

Poruszyliśmy część tylko przyczyn, które zrobiły z obozu narodowego w Polsce rzekomego obrońcę skrajnego parlamentaryzmu. Przyczyn takich dałoby się wykazać więcej. P. A. Chrząszczewski, stylizując w swej książce życie polityczne, okazał brak zrozumienia dla jego różnolitości i złożoności.

Jak dalej potoczą się losy ustroju Polski, trudno przewidzieć. Czy w przeciągu lat niedalekich powstaną warunki, pozwalające na poważną, wolną od taktyki i ubocznych względów, przebudowę konstytucyjną odrodzonego, a tak już zagrożonego państwa? Czy wytworzy się zdrowy prąd opinji politycznej, umożliwiający sformułowanie koncepcyj ustrojowych, wolnych od zaciemniających je doktryn i zgodnych z linją rozwojową społeczeństw europejskich, a Polski w szczególności, zgodnych zwłaszcza z jej warunkami wewnętrznej struktury i zewnętrznego położenia—pokaże historja. Jedno jest pewne: obóz narodowy wyzyskać winien okres swe nieodpowiedzialności za rządy na sformułowanie swego ideału ustrojowego. Obowiązek ten spada zwłaszcza na młode pokolenie. Dla tych celów gruntowna dyskusja na temat książki pana Chrząszczewskiego, podobnie jak ruch umysłowy, wywołany niedawno „Państwem Narodowem" prof. Grabskiego, może być rzeczą niezmiernie pożyteczną.

JAN MOSDORF

STOSOWANIE SZTUK

W SPRAWIE, o którą tu niedawno zrobiło się trochę huczku polemiczno-fotografikalskiego, mianowicie — w sprawie należenia lub nienależenia do szeregu sztuk danego działu pracy — w rozumowania ludzkie główny zamęt wprowadzają tak zwane sztuki stosowane. W sporach na ten temat prowadzonych zauważyłem w głowach ludzkich pewne stałe odwrócenie, które polega na tem, że sztukę widzą nie w sztuce, którą się stosuje, ale w rzemiośle, do którego stosowana jest ta lub owa sztuka. Z tego powodu ilość sztuk wyolbrzymia się im do ilości rzemiosł i wszelkich prac, w jakich bodaj szczyptę artyzmu odnaleźć można. W ostatecznym wyniku następuje zmęczenie, zniechęcenie i kapitulacja, czyli ofiarne obezgłowienie: wszystko jest możliwe! wszystko jest względne! określenia (definicje) są zwodne i niepewne! nic nie wiadomo! kucharstwo także jest sztuką!

Pragnę pośpieszyć tu z niejaką pomocą tym kapitulantom. Istnieją niemożliwości. Względność zapomina samą siebie uwzględnić. Bywają określenia pełne i pewne. Posiadamy trochę świata wiadomego. O kucharstwie pomówimy przy innej skromnej uczcie filozoficznej.

Gdy bierzemy pod rozwagę jakiekolwiek rzemiosło, naprzykład — stolarstwo i pokrewne mu tokarstwo, i gdy odnajdujemy w niem mnóstwo pierwiastków artystycznych, nie należy śpieszyć się do wniosku, że to rzemiosło także jest sztuką, z czego wynika popłoch myślowy w stosunku do określenia sztuki wogóle. Postąpimy o wiele rozważniej, gdy naprzód rzemiosło to poddamy najprostszej analizie naukowej. Może ona oddzieli nam pracę rzemieślniczą od artystycznej? A wtedy już znaleźlibyśmy się na skrzyżowaniu dwóch wyraźnych dróg, z których jedna byłaby napewno rzemiosłem, a druga napewno — sztuką.

W stolarstwie artystycznem (a nawet w każdem, lecz w stopniu ledwie dostrzegalnym) istnieją czynniki, składniki i środki artystyczne, które na całym obszarze doświadczeń sprowadzają się do

czterech sztuk plastycznych: — rysownictwa, malarstwa, rzeźbiarstwa i budownictwa (architektury). Kredens jestto, niewątpliwie, dom. Posiada fundament, ściany, dach, piętra, drzwi, okna. Wschodów mu niepotrzeba, bo przedmioty, w nim mieszkające, nie chodzą, tylko na rękach ludzkich, jak na samolotach, wjeżdżają „do siebie" i wyjeżdżają. Stąd też kredensy i wszelkie szafy mają sobie za punkt honoru stosowanie się do stylów architektonicznych. Mamy tu więc architekturę stosowaną. Kredensy i szafy, a wzorem tak poważnych osób i reszta pospólstwa stolarskiego — stoły, krzesła i tak dalej — bywają zdobione robotą snycerską lub tokarską, w czem łatwo odkryć rzeźbiarstwo stosowane. Z punktu widzenia artystycznego ważną jest dla sprzętów rzeczą dobór barw — czy to w samym materjale tkwiących, czy inkrustacją, lub farbą i pendzlem narzucanych. Zatem — malarstwo stosowane. I wreszcie dłutko lub rylec, albo i pendzel wprowadza czasem do sprzętów zdobinę linijną, co jest stosowaniem sztuki rysowniczej.

Wyliczenie powyższe wyczerpuje wszystkie możliwości stosowania sztuk nietylko w stolarstwie, ale i we wszystkich rzemiosłach i pracach, które wytwarzają przedmioty materjalne. Inne sztuki, jak muzyka, poezja, aktorstwo, mają swój własny zakres zastosowań, mianowicie w świecie nieplastycznym, więc, naprzykład, w krasomówstwie (poezja i aktorstwo), w wychowaniu fizycznem (muzyka w systemie Dalcroza) i t. p. Wszelkie wyliczenia i rozważania szczegółowe w tym kierunku pozostawiam z ufnością dobrej woli czytelników, a tu podaję tylko ich wywód ostateczny, powszechny i konieczny: w każdem rzemiośle, w każdej pracy każdy pierwiastek, składnik lub czynnik artystyczny należy do tej lub owej sztuki dobrze znanej i ściśle określonej. Tym sposobem jesteśmy u kresu naszej analizy i otwieramy sobie perspektywę na drogę sztuki — z tego niebezpiecznego rozstaja, gdzie straszy i gdzie niejedna nawet tęga głowa estetologiczna zawrotu doznała.

Oddzieliliśmy sztukę od rzemiosła. Teraz oddzielmy rzemiosło od sztuki. Weźmy znowu, jako przykład, stolarstwo. Oto jest, dajmy na to, stół, najprostszy w świecie stół. Rozmiar w trzech wymiarach dały mu względy praktyczne. Grubość części poszczególnych i ciężar dała mu wiedza o wytrzymałości tworzywa. Barwę dał mu przypadek, lub konieczność fizyczna (drzewo, pokost). No — i to wszystko... Chyba nic tu niema ze sztuki? Ale po bliższem obejrzeniu okazuje się, że nogi u samego dołu są zlekka wskos sciosane Po co? To niepraktyczne i zbędne. Otóż tu jakiś w pradawnych czasach prastolarz poczuł dla swojego stołu wzruszenie, jakoby uczucie braterstwa, że niby – to czworonóg, ale nie słoń, zatem wypada, żeby miał u stóp węższe kończyny. Będzie mu zgrabniej. W tem „zgrabniej" tkwi już treść czysto artystyczna, powzięta z poczucia mięśniowego, które leży w duchowej podstawie architektury. Poczem sciosane stopy u stołu weszły do stolarstwa w postaci kanonu rzemieślniczego, stosowane stale, mechanicznie, bezdusznie. Ale ślad, cień, cień cienia artyzmu pozostał. Tylko ten prastolarz był w tym śladzie artystą. Następcy są już wyłącznie rzemieślnikami. Ale ślad jest śladem sztuki. Otóż jeżeli ten ślad usuniemy (bywają i takie stoły toporne), to pozostanie w stole czyste, bez żadnych domieszek, rzemiosło.

Tym samym torem puśćmy rozumowanie nasze w dziedzinie setek rzemiosł i prac ludzkich, a wtedy wszędzie z łatwością odsłonimy w nich ich podstawę pozaartystyczną. Czemkolwiek jest ta podstawa, nie powstała z pobudek, ani w celu wyrażenia własnej duszy pracownika — i to właśnie wyraźnie ją oddziela od sztuki wogóle, oraz od pierwiastków sztuki, w samym wyrobie tkwiących. Zaś pierwiastki te bez wyjątku należą do jednej, lub kilku, w danym przedmiocie złączonych, sztuk istniejących, znanych i określonych. Innemi słowy, niema potrzeby błąkać się bezradnie po lesie rzemiosł i prac ludzkich w zwątpieniach i poszukiwaniach, bo każdy w nich ślad artyzmu odrazu da się odnieść do jednej z nielicznych sztuk, obecnie na świecie żyjących. A wtedy prosty zmysł przynależności i jednorodności zjawisk wskazuje, że wszelki w rzemiośle rysunek artystyczny jest tu zastosowaniem sztuki rysowniczej, barwa artystyczna — sztuki malarskiej, płaszczyzna artystyczna — rzeźbiarskiej i tak dalej. Dodawany tu przymiotnik „artystyczny" to jedynie określa, że dany rysunek, barwa, kształt powstały nie z konieczności technicznej i nie z przypadku.

Wzorem powyższych rozumowań kto łaskaw, niechaj w napotykanych przedmiotach oddziela sztukę od rzemiosła lub techniki, a po pewnym czasie przekona się doświadczalnie, że niema żadnej tragicznej tajemnicy w sprawie wyznaczenia ilości sztuk, ich ścisłego określenia, oraz ich zastosowań. Przy sposobności uczyni nadto miłe spostrzeżenie, że pierwiastki sztuk, zwłaszcza plastycznych, w mniejszych lub większych ułamkach rozproszone są wszędzie. Nie tylko ów prastolarz doznał wzruszenia i ułatwił, „uzgrabnił" stołowi chodzenie, chociaż to przedmiot do wręcz przeciwnej czynności przeznaczony. Rozproszona w wielkiej rzeszy ludzkiej sztuka od czasu do czasu ogniskuje się w jednym człowieku i wtedy powstaje artysta, czyli twórca wyłącznie sztuce oddany. W twórcy sztuka rozpłomienia się nowemi ogniami i stąd, z kolei, znowu promieniuje na ogół ludzki. Obecnie, w czasach nadzwyczajnego podziału pracy, dokonał się również podział na artystę i rzemieślnika tam nawet, gdzie doniedawna prace te w jednym człowieku się łączyły. Jeden projektuje, tworzy, drugi powtarza, wykonywa. Dla rozumowań naszych podział ten jest ubocznym dowodem naturalnego odgraniczenia sztuki od rzemiosła i techniki.

Ponieważ namówiłem czytelnika do przygodnych doświadczeń, a przewiduję natknięcie się w nich na dwie nieoczekiwane trudności, więc czuję się w obowiązką uprzedzenia o nich. Należy naprzód, mieć na uwadze rozciągłość takich słów, jak „rysownictwo, malarstwo, rzeźbiarstwo i budownictwo", bowiem obejmują one nietylko sztuki odpowiednie, ale i czynności czysto techniczne. Istnieje rysownictwo w technice — np. rysunki planów, modelów i t. d., istnieje malarstwo techniczne w planach barwionych, w mapach geograficznych i t. p., istnieje rzeźbiarstwo, nic ze sztuką nie mające wspólnego, jak np. modele anatomiczne, zaś każde budownictwo, nawet artystyczne, oparte jest na nauce i technice, oraz na zasadniczym celu czysto praktycznym. Trzeba zatem odróżniać sztukę, malarstwem zwaną, od malarstwa wogóle, do którego mamy prawo włączać i malarstwo techniczne lub rzemieślnicze. To samo dotyczy innych sztuk.

Druga trudność przewidywana może się trafić w postaci tak zwanego „piękna“. Nie wszystko, co ładne, należy do sztuki, a z drugiej strony— mogą istnieć dzieła sztuki nietylko obojętne pod względem ładności, ale wręcz brzydkie, a mimo to są dziełami sztuki. Kwiaty i muszle morskie są prześliczne, ale nie zaliczamy ich do dzieł sztuki. Bohomazy futurystów są wstrętne, ale należą do sztuki. Stąd też, gdy odkryjemy piękno w kształcie, naprzykład, jakiego topora, to niekoniecznie wnioskować mamy o jego pochodzeniu ze sztuki, może się bowiem zdarzyć, że ten kształt powstał ze ścisłego obliczenia celowego rozkładu ciężaru, lekkości w rozmachu, dogodności w ujęciu i tym podobnych zalet praktycznych. Człowiek odczuwa również piękno w celowości. Tu już jesteśmy u wylotu bocznej względem tego szkicu drogi, prowadzącej do zagadnień piękna wogóle i piękna w sztuce. Nie radzę zapuszczać się w nią dopóty, dopóki nie zdamy sobie sprawy z mnóstwa brzydoty, przebywającej w sztukach pięknych i z mnóstwa piękna, hojnie rozsianego w przyrodzie. Gdy jedno i drugie sprowadzimy do duszy ludzkiej, jako potęgi rzutującej („projekcyjnej“), zyskamy rodzaj busoli, która już zbłądzić nam nie pozwoli. Wtedy znów spotkamy się na tem rozstaju, aby pomówić sobie i o tem — perypatetycznie.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

OKRESOWOŚĆ W PSYCHICE KASPROWICZA

NOWE wydanie wszystkich dzieł Kasprowicza, dokonane przez prof. Stefana Kołaczkowskiego, uprzystępniło tego wielkiego poetę szerokim sferom czytelników, umiejętne zaś rozłożenie utworów na tomiki w tym porządku, jak one z pod ręki poety wychodziły, uprzytomnia na rzut oka okresowość jego twórczości. Dosyć przejrzeć po kolei ten różaniec, aby zobaczyć, że był to poeta, który nie zachował przed nami żadnych tajemnic, wyspowiadał się ze swojej natury.

Nie znajdziemy w literaturze polskiej poety, któryby budził tyle ciekawości, jako zagadnienie psychologiczne. Kto wie, czy historja powtórzy kiedy w literaturze takie zjawisko. Niechże więc będzie usprawiedliwione moje upodobanie, z jakiem do Kasprowicza wracam i innych do niego nawracam.

Dlaczego w poprzednim artykule „Przełęcz Jana Kasprowicza“ (nr. 10) tyle uwagi poświęciłem jego żywiołowości fizycznej? Bo to jest potrzebne do zrozumienia dziwnie prawidłowej, cyklicznej okresowości w jego tworzeniu.

1. Przy całej objektywności, z którąby się chciało badać psychikę Kasprowicza, trudno się opędzić od metaforyczności. Mamy bowiem w oczach linję spiralną jego twórczości, poczynającej się w nizinach, porywającą się w góry, aż na szczyty najwyższe, a wreszcie gdzieś na przełęczy statkującą. Gigantyzm jego hymnów nie da się inaczej myśleć, jak rozpinaniem się jego duszy na stalugach gór; jego lęki i zachwyty, jego ważenie się nad przepaściami ducha, tragizm kontrastów uczuciowo-ideowych, wreszcie zatracanie się w szumie potoku — to wszystko góry. Jego czasy młode w twórczości, póki miał w oczach równinę kujawską, słały się łanami strof równych, jak pola buraczane. Czuł się w poziomie rzesz ludzkich i w nich gubił swą osobowość, jak ptak hodowany. Poderwały się orle skrzydła dopiero na widok gór. Do dawnego okresu należy i ta miłość, której dodał przydomek „grzech“ (1891). Przy szumie drzew dopiero na wzgórzu „szczęśliwym poczuł się duch (jego) dotychczas znękany“. Miłość przyprawiła mu orle skrzydła. Znalazł wylot dla swej natury przez duszę w przyrodzeniu.

Ale tu staje kwestja najtrudniejsza do rozwiązania, o ile to przedstawienie o górskości drogi jest metaforą, a ile w niem jest prawdy psychologicznej. Stosunek duszy Kasprowicza do przyrody zmysłami odczuwanej bardzo trafnie ujął Wacław Borowy:[1])

„Wszystkie rozmyślania Kasprowicza odbywały się przy pomocy kontemplacji przyrody. Nie było chyba drugiego poety w Polsce, dla którego twórczości spółżycie z naturą byłoby czemś tak istotnem i tak nieodzownem... Ma on odczucie jakiegoś żywiołowego pokrewieństwa z naturą... wrastania w przyrodę, stawania się jej cząstką. Przyroda była mu konieczną do myślenia, jako dostarczycielka nietylko podniet i obrazów, ale wręcz argumentów. Poeta rzutuje swoją myśl na przyrodę i z rozwinięcia tego rzutu, ze zmian, które się w nim dokonywają, uzyskuje nowe przesłanki poetyckiego rozumowania... Był on zupełnie niezdolny do czystego, w sobie samym cel mającego opisu. Opisy zjawiają się dopiero wtedy, gdy poeta ma coś do powiedzenia za ich pomocą. ...Wszystko to są dla Kasprowicza, jak dla św. Franciszka z jego hymnu, znaki, w których jest „oddźwięk tajemnicy“.

Niełatwo więc, jak z tego widzimy, odgraniczyć taką naturę poetycką od przyrody: one się wplatają w siebie wskutek szczególnej sensytywności człowieka. Świadomość poetycka ma przed sobą w jednym tle nierozgraniczone między sobą doznania zmysłowe i wzruszenia, to znaczy rzeczywistość poza sobą i jej odbicie w duszy. Granica między przyrodą a psychiką przesuwa się głęboko w człowieka.

Wielką wagę przywiązuję dlatego w badaniu psychiki poetów do zmian, jakie w niej zachodzą, pod wpływem zetknięcia się jej z nowością w przyrodzie.[2]) Nowe bowiem motywy doznawań od przyrody wprowadzają nowe do uczuciowości impulsy, które nie pozwalają duszy poetyckiej automatyzować się. Widzieliśmy dawniej na Kasprowiczu, jaką dużą rolę odegrał w jego liryce motyw lasu, którego w dzieciństwie na Kujawach nie znał.

„Przy szumie drzew“ (w Truskawcu) rozpoznaje przez drzewa własny głos krwi w podobny sposób, jak na przełęczy, wsłuchując się w szum potoku, rozmawia z Bogiem. Dusza Kasprowicza, kiedy już zżył się z Tatrami, przezwyciężywszy ich działanie jako wstrząsającej nowości, modeluje się na życiu gór. Szczyty, z których go strąciła pycha nadludzkich uroszczeń, ma nad sobą. Płonie chwilami od słońca jego dusza, jak te wierchy, odpowiada wodogrzmotom echem coraz cichszem, nie przeraża go huk lecącego w przepaście złomu, szumi sam, jak potok uciszony już w Poroninie.

[1]) Wacław Borowy „Jan Kasprowicz“. Kraków 1928, strona 27 — 29.

[2]) Por. Z. Wasilewski „Wspomnienia o Janie Kasprowiczu i Stefanie Żeromskim“. Warsz. 1927. Rozdział „Góry w poezji“, oraz Z. Wasilewski „Pieśń w górach“. Warsz. 1930

Myśląc o poezji Kasprowicza, nie można na chwilę brać go w oderwaniu od środowisk przyrody. Dla zrozumienia okresu poetyckiego pod nagłówkiem „Ginącemu światu“ nie jest bynajmniej wystarczająca informacja biograficzna, że w tym czasie doznał, jako człowiek, bolesnego ciosu sercowego. Skądby się wziął ten wielki zasiąg obrazów poetyckich jego duszy, gdyby nie nastroje górskie, na których rozpiął swoje płótno? Parnas— to była góra; ona jest potrzebna duszy poetyckiej, jak stalugi malarzowi. Porwaniem duszy Kasprowicza przez Tatry tłumaczy się wielka skala patosu hymnów; pokonaniem ich przez poetę wyjaśnić można to, że te same motywy tragiczne wykonywać mógł potem w minjaturach: „Chwil“, „Księgi ubogich“ i „Mojego świata“.

2. Kasprowicz zanim zdobył tę swoją przełęcz, przebył w twórczości dwa wielkie okresy: jeden nizinny, drugi wspinania się w górę. To, co pisałem niegdyś o jego liryce i włączyłem do monografji o nim,[3]) dotyczyło tych dwu okresów.

Tutaj chciałbym jedynie zwrócić uwagę na to, jak się odbywał w duszy Kasprowacza proces dysautomatyzacji, że użyję określenia prof. Jana Rozwadowskiego [4]).

Wybitnym momentem zatrzymania się namiętności i reakcji była książka „O bohaterskim koniu i walącym się domu“. Czy nie widzieliśmy analogicznego zwrotu już przedtem? Właśnie kiedy się wyzwalał ze stanów pierwszego okresu, a wlokły się za nim lamenty „padolnych niw“ i szybującego w górę powstrzymywały wyrzutem sumienia, to wtedy, broniąc swych praw do lotu, postąpił z sobą równie bezlitośnie: zdeptał swoją przeszłość.

Byłeś mi dawniej bożyszczem o tłumie!

Inaczej już widział te rzeczy. Dusza jego dawniej litością łkała, złorzeczyła ciemięzcom, wierzyła w potęgę masy, „bałwochwalcze kadzidła“ paliła tłumowi. Ale to minęło:

Są w twojej piersi wulkaniczne ognie,
Ale stracony, kto się od nich zajmie.
Serce swe spali, duszę swoją pognie,
Jak ćma, tak spłonie w twym służalczym najmie.

Wogóle liryka z r. 1896, cały niemal „Krzak dzikiej róży“ z przytoczonym wyżej utworem, z utworami takiemi, jak: „Powiadają, że w nas niema“, „Marny tłumie“ i t. p.[5]) jest zrywaniem się do lotu w górę, wyrazem wzgardy dla dotychczasowego obcowania socjalnego z ludźmi na równi wspólnych wszystkim interesów. Kasprowicz rozpoczyna nową fazę pracy duchowej o wymiarze socjologicznym: ziemia, człowiek, Bóg, wymiarze twórczości historycznej.

Wydano okrzyk zgrozy (Chmielowski) z powodu zmienności poglądów społecznych Kasprowicza, nie rozumiejąc, że to się działo z konieczności psychicznych, mocniejszych od poglądu i woli. Nastawienie Kasprowicza na pewną ideę poetycką było cyklowe. Jak w każdym niemal utworze całą gamę duszy poruszał, że zwrotki były jak klawisze, tak znowu idea wyżyć się w nim musiała w kilkuletnim cyklu utworów, wiodącym go jakąś spiralą coraz wyżej do progu nowego okresu; a każdy utwór był w tej gamie rozegranej jak klawisz. Słusznie zauważył Kołaczkowski, że te cykle nie urywały się nagle; jeszcze jednego nie skończył, już drugim żyć poczynał tak, iż zaplatały się z sobą nieraz dosyć głęboko. Wyswabadzał się nie z kaprysu i nie z postanowienia, lecz z konieczności organicznej. Jak człowiek przesycony jadłem, czy miłością ustaje w żądzy, obojętnieje, trzeźwem okiem na rzecz patrzy, gardzi, wreszcie nienawidzi, tak Kasprowicz zasycał się i reagował.

Inaczej reagował w okresie prometejskim, mianowicie w przystępie gniewu, odpowiadającego tonowi patetycznemu duszy. Nie mógłby wtedy pisać takiej rzeczy prozą, jak w okresie następnym pisał „O bohaterskim koniu“. Teraz pisał prozą, bo chwilowo był wypadł z liryki rytmicznej; dom, zbudowany z namiętności, zawalił się. Reagował refleksyjnie, już nie w gniewie, ile raczej w złości a smutku. Zły był na siebie. Z sobą robił rachunek, wstydził się swych zapamiętań, a żarzący się liryzm, gdy już płomieni nie było, znajdował wyraz w ironji i tragicznym humorze. Żeby humor był, na to trzeba mieć już postawę nie patetyczną, lecz intelektualną. Kasprowicz w tym momencie już mógł traktować swoje stany objektywnie. Odruchowe, organiczne jest w nim jedno: potrzeba oczyszczenia duszy z gruzu. Książka „O bohaterskim koniu“ to cały ładunek szczątków z domu, który się zawalił: porządkowanie duszy po burzy, „kopnięcie bólu“.

Był to czas, kiedy poeta, jakby na nowo się rodził, chce zapomnieć o tem, co przebył od nizin łącznie z bluźnierstwem, jakiego się dopuścił względem ludu: „Słodka, jedyna pieśni“—pisze we „Fragmencie“ — „zbliżam się k'tobie i znów spoglądam w głębie twych oczu...“

I żebrzącemi śmiem cię błagać słowy,
Iżbyś stanęła przy mnie już nie z bólem,
Ale z słoneczną, wiosenną radością [6]).

„Czas już dawno nadszedł dla ciebie, ażebyś umiała lekceważąco kopnąć ból“. Takiem kopnięciem zaznaczyły się w zdrowym organizmie Kasprowicza momenty wyzwolin.

3. Ta sprawa odpychania od siebie pozostałości po przeżytych już okresach, wyprzątania swego wnętrza wiąże się z zagadnieniem niezwykle ciekawem, mianowicie — jak to było w tem wyczerpywaniem się okresu. Jeśli mówimy o „przeżywaniu“, to mamy w tym wypadku na myśli przeżycie przy pomocy sztuki. W życiu świeckiem (jeśli je przeciwstawić kapłańskiemu życiu poety) przejścia psychiczne zamazują się tak, jak się rodziły, bezkształtne, gasnącemi falami; nawet katastrofalne zacierają się w zapomnieniu. W życiu poety przejścia życiowe dają we wzruszeniu początek życiu postaciowemu, poetyckiemu. Zdaje się przytem, że taka postać obrazowa, rosnąca w duszy od dopływu wyobrażeń, idej i kojarzących się uczuć, ma pewne samoistne życie, dłuższe i intensywniejsze, niż zwykła pamięć doznań.

Fala rośnie w miarę jak rozszerzają się na duszę jej kręgi, dosięga, jak u Kasprowicza, gigantycznych rozmiarów, dosięga nieba. Fala poetycka rośnie od małych rzeczy, od spostrzeżenia, która poecie jawi się jak symbol; przerzucając się na zmysł ustrojowy, sięgając w głąb odczuć moral-

[3]) Z. Wasilewski. „Jan Kasprowicz. Zarys wizerunku“ Warszawa (1925).

[4]) J. Rozwadowski, „Zjawisko dysautomatyzacji i tendencja energji psychicznej“ w „Kwart. Filozoficznym“ 1922, zeszyt I.

[5]) „Dzieła“, VII.

[6]) „Dzieła“, XI, 31.

nych, wiążąc się z systemem ideowym, to małe ziarno wzruszenia narasta symbolami coraz większemi, które albo harmonizują z sobą, albo wiodą z sobą bój. Uprzytomnijmy sobie w tem miejscu, jak z wyrzutu, że się błędnie skierowało popęd miłosny, wyrasta poczucie grzechu, walka chuci z duchem, zła i dobra, piekła i raju, Boga i szatana. Dalej już nie ma drogi. Poeta zżywa się nie ze swemi stanami przebytemi życiowo, bo te minęły i zlały się w pamięci bezkształtnie w ciężar, który nie rośnie, lecz raczej maleje; poeta zżywa się ze swemi symbolami, które mają w jego poetyckiej wyobraźni żywot dłuższy od rzeczywistości życiowej. To są też byty psychiczne, trzymające się duszy pamięcią wzruszeń poetyckich, byty postaciowe, tworzące potem, gdy żywioł wzruszeniowy stygnie, rodzaj teatru w duszy. Poeta, wyzwalając z nich świadomość intelektualną, zaczyna patrzeć na nie objektywnie i z siebie przenosi, jako miarę rzeczy, na świat zewnętrzny. Widzi schemat swoich symbolów, powtarzający się w życiu i w tradycjach ludzkości. I wtedy przychodzi mu do głowy idea zrobienia z nich teatru przy pomocy figur, symbolizujących jego idee.

Taka jest mojem zdaniem geneza dramatów Kasprowicza. Niewątpliwie twórczość każdego głębszego dramaturga dąży podobnemi drogami. Ma on wpierw w duszy schemat pewnego dramatu, który następnie postaciuje żywym obrazem. Ale — to chcę zaznaczyć — nie jest w sztuce bez znaczenia okoliczność, czy dramaturg dopiero w chwili tworzenia przeżywa ten dramat uczuciowo, czy też, jak Kasprowicz, przeżył go już przedtem. Kasprowicz przeżywał dramat cyklowo w swych lirykach, z sobą jako główną osobą dramatu; wtedy był w swojej pełni twórczej. Dramat zaś teatralny był już tworem wtórnym. A to ma swoje znaczenie.

Tem się tłumaczy, że dramatyczne utwory jego robią mniejsze wrażenie; tworzone są w niższej temperaturze uczuciowej, w fazie objektywizowania myślowego uczuć egotycznych i przenoszenia ich na świat. Szczyt swój dramotopisarski osiągnął w wizji religijnej „Na wzgórzu śmierci"; tutaj dokładnie jego uczucie osobiste spotęgowało się motywem duszy, głęboko wpojonym z kultu religijnego; utwór sam z typu swego psychicznego jest właściwie poezją liryczną.

Kasprowicza siłą rodną był żywioł uczuciowy, decydujący o świadomości artystycznej. Artysta w liryce tracił panowanie nad poetą; ściślej mówiąc w liryce utożsamiał się z poetą. Ale gdy chodziło o emancypację władzy artystycznej, to ona już zwrotnej mocy nie miała, aby na rozkaz żywioł obudzić. Materjał stygł w rękach dramaturga, bo już był raz przeżyty. Kasprowicz, pisząc dramat teatralny, uwalniał się od tego żywiołu; to był proces likwidacji poetyckiej: zaklinał swe postaci symboliczne, które mu pokoju nie dawały, w formy objektywne łątek, aby im dać zatrudnienie poza sobą. Tak lud postaciuje widma swych upiorów i w kształcie kukieł je topi lub spala.

Utwory dramatyczne Kasprowicza były z tego powodu słupami granicznemi jego cyklów lirycznych. Każdy okres usiłował zamknąć teatrem swych przeżytych ideałów. Po okresie nizinnym, naturalistyczno-społecznikowskim napisał "Świat się kończy", utwór dramatyczny tegoż typu. Ale świat się nie skończył. Trochę wyżej, na podgórzu dalszych wzlotów zamknął przeszłość dramatem „Kostki Napierskiego". Okres wędrowania w górę „nad przepaściami" i hymnów u szczytu znaczył dziełami „Na wzgórzu śmierci" i szopkową (na wielką skalę) „Uczta Herodjady"; dalszy okres balladowo-potokowy, odczyniony już z gry namiętności zmysłowych, zaklął w utworze „Sita". A jednocześnie w drugiej połowie twórczości przemyśliwał nad wielkim dramatem swego życia całego, gdzie zrobił teatr z zasadniczych motywów, które nim władały (stosunek do świata nadprzyrodzonego, do przyrody, do społeczeństwa). Był to on sam udramatyzowany, on „Marchołt".

Byłoby to przeciwne pojmowaniu naszemu duszy, gdybyśmy na chwilę przypuścić mogli, że takie cykle dają się zamykać w komory osobne, nie skomunikowane z sobą. Dusza płynie w swoją dal, tylko się oczyszcza. Dramat załatwiał się z postaciami sformowanemi w symbolach, drzazgi z serca wyrywał poeta i palił w szydzie a złości w takich dziełach, jak „Bohaterski koń i walący się dom", a reszta już uspokojonego żywiołu spływała, jak szemrzący potok. Po drugiej stronie góry swego żywota, zstępujący ze wzgórza śmierci poeta, był już istotnie, jak Dunajec w Poroninie, rozpamiętywującym potokiem. Czemże są jego liryki balladowego tempa i rozmyślania, jak nie liryką, odczynioną z pierwiastków egotycznych, liryką od imienia ludzkości, liryką dramatyzowanego życia na odległościach czasu, liryką, której mu w szumie udziela potok.

Tak spłynął do nieobjętego morza wieczności.

ZYGMUNT WASILEWSKI

ZAŁOZYCIELE

(PRZEKŁAD Z M. GUMILEWA)

Romulus z Remem, wsparci o miecze,
Weszli na wzgórze, objęte snem;
„Tu będzie miasto" — Romulus rzecze
„Miasto, jak słońce"! — odpowie Rem.

Romulus rzecze: „Przeznaczeń siłą
Myśmy pradawną zyskali cześć",
A Rem odpowie: „Co niegdyś było
Trzeba zapomnieć — wzrok w przyszłość wznieść"!

„Tu będzie cyrk nasz — oznajmia Romul,
Tu będzie dom nasz — gospoda wszem"
„Trzeba zbudować w pobliżu domu
Grobowce zmarłym" — odpowie Rem...

KONSTANTY SYMONOLEWICZ, *Junior*

GŁOSY

RUERE IN SERVITIUM

„At Romae ruere in servitium consules, patres, eques. Quanto quis inlustrior, tanto magis falsi ac fastinantes“... Tacitus: *Ab excessu Augusti I, 7* [1]).

TEMI słowami największy historyk starożytności charakteryzuje upodlenie Rzymian w chwili wstąpienia na tron krwawego Tyberjusza. A działo się to w narodzie, który przez siedem wieków odznaczył się wielkością oraz uszanowaniem godności osobistej i zbiorowej.

My, po znikczemnieniu w epoce elekcyjnej, nie nauczyliśmy się podczas niewoli, jako całość, żadnej z cnót rzymskich i niepodległy byt zaczynamy o tego, na czem niechlubnie skończył wielki niegdyś Rzym starożytny. Służalczość dobrowolna staje się nagminną chorobą. To nie ludzie biedni, bez kawałka chleba, płaszczą się przed szafarzami grosza czy posady, ale ludzie świecznikowi: arystokraci, intelektualiści, literaci.

Dobrze jest kontrolować rząd, ale pilniejszą staje się potrzeba budzenia sumień u obywateli, otwierania oczu uśpionym, żeby ocucić. Dlatego należałoby notować codziennie nikczemności.

Pewność siebie ze strony służalców zabija odwagę i wiarę u tych, którzy jeszcze zachowali godność człowieka, wstyd i sumienie. Trzeba więc roztrząsać te zgubne objawy, aby zahukane sumienia uświadamiać, szlachetny wstyd budzić, skuloną godność wyprostowywać.

Niedawno p. Meysztowicz napisał list do redakcji *„Revue des deux Mondes“*, dowodząc, że „cuchnące“, jak się sam wyraził, wywiady są jedyną skuteczną metodą wychowawczą dla Polaków. Czyżby p. Meysztowicz nie uważał się za Polaka? A jeżeli się za takiego uważa, czyżby sądził innych według siebie? W takim razie muszę go wziąć w obronę przed nim samym. Nie wierzę, żeby p. Meysztowicz spełniał swe obowiązki obywatelskie, rodzinne, towarzyskie tylko wtedy, kiedy się go zacznie przezywać idjotą i traktować ekskrementami. Dlaczego więc przed obcymi zaręcza, że wszyscy Polacy, a więc i on sam między nimi, nie dadzą się inaczej prowadzić, tylko „cuchnącemi” słowami. Jeżeli u nędzarza byłaby taka służalczość zrozumiała, bo głód to wielki pan, u tego zamożnego, niezależnego człowieka, to jest objaw dla europejczyka niezrozumiały.

Inny również niezależny człowiek, bo profesor uniwersytetu, p. Kamieniecki ogłosił fejleton, w którym wykazuje, że bestjalstwo jest murowaniem fundamentów pod przyszłe mocarstwo polskie i że je można porównać z morderstwami Ludwika XI we Francji, albo Kromwela w Anglji. Szkoda, że pominął jeszcze bliższy przykład Iwana Groźnego w Moskwie. Zapomniał biedaczek, że jest duży przedział wieków między Ludwikiem XI i Kromwelem, a czasami dzisiejszemi, i że świat sądzi obecnie rządzenie państwem innemi kryterjami, niż sądził przed kilkuset laty.

Czy w tem zachwalaniu morderstw Ludwika XI i Kromwela (czemu nie Iwana Groźnego i czerezwyczajki?) tkwi tylko apetyt luminarza nauki, czy też zapowiedź dalszego rozwoju stosunków u nas, nie zdradził czytelnikom „uczony“ profesor. Wartoby wiedzieć, jakie uczone wywody pisałby ten mędrzec, gdyby jego mordercze sposoby chciano zacząć od niego. Zdaje mu się, że przez swoją służalczość zaasekurował własną cenioną skórę i pragnąłby innych ekspedjować na drugi świat. Bo morderstwom swoich nowych bohaterów przeciwstawił niejako z żalem idylliczność Brześcia. Zapomniał, lub też wcale nie wie, że tam był jakiś program, dla którego dopuszczano się zbrodni, podczas gdy tutaj nikt planu nie widzi. A wychwalanie skuteczności metod brzeskich nie ma podstawy bodaj dlatego, że wybory ostatnie zostały dokonane pierwej, nim się dowiedziano szczegółów o brzeskiej kaźni — nie mogła ona zatem wpłynąć na wynik tych wyborów. Ze względu więc na skuteczność była ona zbyteczna, niepotrzebna. I uczony profesor wie o tem dobrze. Po co więc pisze te brednie? Ma przecież obfity, chociaż jak widać, wcale nie zasłużony kawałek chleba i podlizywać się nie ma potrzeby materjalnej. Jest to zatem tylko potrzeba „moralna“, bo urodził się niewolnikiem.

Niepięknej roli apologety „metod brzeskich“ pozazdrościł litewskiemu księciu austrjacki hrabia i postanowił rywala przelicytować. Nic dziwnego. Książe Radziwiłł jest oddawna w łaskach, a hrabia Tadeusz Łubieński dopiero się stara o ich pozyskanie. Stąd pochodzi i różnica w tonie i w sposobie ujmowania kwestji. Ks. Radziwiłł bądź co bądź przyznaje, że w Brześciu była jednak zbytnia surowość. Hrabia Łubieński natomiast zaręcza, że wiadomości o niej są skłamane, a opiera swoją pewność na tem, że według jego przekonania wszyscy więźniowie brzescy są notorycznymi kłamcami i przez całe życie tylko kłamali.

Jest jednakże w tem „arystokratycznem“ zapewnianiu pewne niedopatrzenie. Oto przed ogłoszeniem tego listu p. Łubieńskiego w „Kurjerze Porannym“, sprawa brzeska została omówiona w Sejmie i zabrali w debacie głos wszyscy zainteresowani ministrowie. Żaden zaś z wielu ani jednem słowem nie zaprzeczył, jakoby jakikolwiek szczegół ogłoszony w interpelacjach i wnioskach poselskich mijał się z prawdą. P. Łubieński w zapale służalczym, w chęci przypodobania się, o tem właśnie zapomniał. Ponieważ p. Łubieński lubi wymowne porównania i pyta, czy hrabia Tarnowski nie jest przypadkowo szewcem z Biłgoraja, przypomnimy mu dawną bajeczkę Ezopa. Źrebak, widząc jak podskoki pieska domowego są wynagradzane przez pana, zapragnął dla siebie podobnego przysmaku i skoczył kopytami na pańskie ramiona. Ale zamiast łakoci dostał baty: nie każdy się rodził pieskiem pokojowym.

Równie zręcznie załatwia się p. Łubieński z kwestją prawną. Dla niego więźniowie brzescy są zbrodniarzami, równie notorycznymi w zdradzie państwa, jak poprzednio w kłamaniu — ich zaś brzeskie więzienie jest tylko sprawiedliwą karą za zbrodnie. I znowu żaden minister nigdy niczego podobnego nie twierdził. Ministrowie mówili, że przeciw tym więźniom toczą się dochodzenia o zbrodnię stanu, ale nie utrzymywali, jakoby ich uwięzienie i sposób traktowania wynikały z wyroku sądowego. A p. Łubieński w ferworze spóźnionego czwartobrygadowca, któremu śpieszno dopędzić lub

---

[1]) Po polsku: A w Rzymie tłumem rzucili się w służalczość konsulowie, senatorzy, szlachta—im kto znakomitszy, tem obleśniej i śpieszniej...

prześcignąć innych, odrzucił i sądy państwowe i rząd, ażeby samowładnie ferować wyrok: może w ten sposób zwróci na siebie uwagę i zdobędzie łaskę.

Gdzie p. Łubieńskiemu brak pomysłowości, tem zapożycza się u innych. Uznaje więc za przewodem prof. Kamienieckiego sprawę brzeską za objaw silnej ręki, która temi metodami buduje potęgę państwa. Dowody tej nowo powstającej potęgi są już namacalne i widoczne w zdobyciu większości przez BB. I tu znowu też sama rozbieżność z chronologją. Do zwycięstwa B. B. przyczyniło się niewątpliwie zamknięcie przywódców opozycji w więzieniu. Ale sposób ich traktowania nie był znany ani podczas wyborów, ani nawet natychmiast po wyborach. Ten sposób stał się głośny dopiero po rozpoczęciu obrad sejmowych. Jak zatem mógł się przyczynić do ufundamentowania BB., a z niem i do ugruntowania potęgi państwa? To już jest tajemnica p.p. Kamienieckiego i Łubieńskiego.

Dwaj ci panowie ogłaszają się i pragną, żeby cała Polska uwierzyła w to, iż naprawdę są zapalonymi zwolennikami potęgi naszego państwa. A skoro wierzą i w drugich chcą obudzić wiarę, że czyszczenie wychodków i policzkowanie oraz chłostanie muruje fundamenty pod potęgę państwa, możeby w swej ofiarności i poświęceniu dla ideału zechcieli sami poddać się codziennej chłoście z mokrą szmatą lub bez niej, ażeby przez to przyśpieszyć owo narastanie potęgi państwowej.

STANISŁAW PIGAŃSKI

HARCERSTWO ZAGROŻONE

OSTATNIE zdarzenia w Związku Harcerstwa Polskiego, o których zresztą opinja publiczna, jak dotąd, tylko bardzo ogólnikowe otrzymała informacje (wybór na przewodniczącego wojewody Grażyńskiego, jednostronny skład naczelnictwa, zmiany na kierowniczych stanowiskach wychowawczych), muszą budzić niepokój o tę tak ważną, tak piękną posiadającą przeszłość i tak świetną rokującą przyszłość — organizację. „Skautom polskim" przecież poświęcono kiedyś „Myśl przebudowy", a jakżeż aktualnem wydaje się *motto* jej: „Ty, coś znał płonkę, widzisz, jak ze wzrostem karłowacieje konar na krzewinie i wykrzywia się to, co było proste".

Na harcerstwie polegało się „jak na Zawiszy", — żeby przypomnieć prawo harcerskie, — iż „zacznie ród nowożytnych rycerzy polskich", złożony z młodzieńców, których nauczono „spostrzegania rzeczywistości, samodzielności, przedsiębiorczości, męstwa, czystości obyczajów i pracy". Budowało się harcerstwo po to, aby ono istotnie czynami, „całem życiem" każdego harcerza i całem zbiorowem życiem gromady harcerskiej służyło Bogu i Ojczyźnie, wiernie i niezłomnie, nie dając się nigdy ściągnąć na manowce wysługiwania się jakimkolwiek partjom czy koterjom.

Dzisiaj na czele harcerstwa stanął człowiek, wybitnie zaangażowany politycznie, sztandarowy człowiek grupy politycznej, znany ze swej działalności politycznej już nie tylko w kraju, ale i szeroko poza jego granicami. Trudno nie szukać związku tego faktu z tem wszystkiem, co się dzieje w Polsce wogóle, a w szczególności w dziedzinie wychowania, do której przecież należy harcerstwo, trudno nie dopatrywać się ogniwa w łańcuchu planów. Wypowiedzenia się z trybuny sejmowej przedstawicieli B. B., mowy p. Czerwińskiego, artykuły p. Jędrzejewicza w „Zrębie" — wszystko to świadczy wyraźnie, że wychowanie młodzieży ma dziś pójść na służbę rządzącej partji. Jakżeby zatem kilkudziesięciu tysięczna organizacja wychowawcza nie miała zwrócić uwagi i nie pobudzić chęci do pozyskania jej, czy wciągnięcia do tej służby?

O co chodzi w stosunku do harcerstwa, pouczył nas wymownie w tym samym, wspomnianym wyżej „Zrębie" (r. 1930, Nr. 2, str. 215 i n.), w artykule „Wczoraj i dzisiaj polskiego harcerstwa" p. Władysław Sieroszewski. Oto jego „wiekopomne" twierdzenia: „Państwo ..musi być utożsamione z panującym kierunkiem rządowym". „Szerzenie kultu dla własnej państwowości, osiągnąć można przez bezwzględne i ochotne (podkreślenie p. S.) poddawanie się autorytetowi władz — zwłaszcza najwyższych" i „przez szerzenie kultu bohaterstwa". „Bohaterskie dzieje 1905 roku, Legjonów, Bajończyków, Korpusu Wschodniego, P. O. W. — życie i rola Józefa Piłsudskiego, oto najlepsza szkoła obywatelska harcerza". P. Sieroszewskiemu ani przez myśl nie przejdzie, że bezsporne, według niego, „przedmioty" kultu zupełnie przeciwne budzą uczucia u bardzo wielkiej liczby Polaków, nie mniej dobrych Polaków od niego,—i że ani „autorytetu" wymusić nie podobna, ani do „kultu" szczerego zapędzić. Nawiasem mówiąc, wartoby oświetlić w prasie „bohaterskie dzieje 1905 roku", choćby z tego względu, że b. pupularny — i dobry technicznie—film „na Sybir" stawia 1905 rok na jednej linji z 1831 i 1863.

Harcerstwo właśnie, grupujące nieletnią i niewyrobioną młodzież, którą łatwo — wydaje się p. S. i jego przyjaciołom politycznym w harcerstwie — będzie urobić w kierunku B. B., ma dopomóc do utrwalenia władzy rządzącej dziś partji. Tworzenie rezerw wśród młodzieży szkolnej jest tem ważniejszem i pilnem zadaniem, że akademickiej młodzieży nie udało się „usanować". I naprawdę przypomina się powiedzenie o djable, co się w ornat ubrał i ogonem na mszę dzwoni, gdy się czyta, że p. Sieroszewski chce „usunąć momenty walk politycznych" z Harcerstwa. Nie jest to jednak tak przewrotne, jak wygląda, gdyż dalszy ciąg tego zdania brzmi: „...i uniemożliwić je w przyszłości przez zniesienie zjazdowo-wyborczej struktury organizacyjnej i ścisłe uzależnienie naczelnego kierownictwa Związku od zwierzchnich władz oświatowych".

Zorjentowano się, że to „uzależnienie" wywoła ostry sprzeciw instruktorów i pracowników harcerskich. Wybrano drogę od dołu, jak widać z głosów prasy codziennej, używszy delegatów kół przyjaciół do opanowania zjazdu harcerskiego.

Mimo wszystko wierzymy, że harcerstwo znajdzie w sobie siłę do oparcia się wciągnięciu na tę drogę, na jaką chcą je sprowadzić krótkowzroczne czynniki partyjne. Czuwać winni prawdziwi harcerze, by sezonowi, na zjazdach fabrykowani delegaci nie zatracili tego dorobku, jakim się ruch harcerski szczycił. Prasa narodowa również baczniejszą zwrócić musi uwagę na życie harcerskie i starać się dokładniej poznać i wyświetlać opinji publicznej zagadnienia harcerskie.

ZET

KRYZYS SZKOŁY ŚREDNIEJ W POLSCE

(Dokończenie)

DORASTA już w Polsce pokolenie, które nie pamięta niewoli, a rozwija się pod tchnieniem wiru życia, cechującego dzisiejszą Europę i Amerykę. Pokolenie starsze, szkoła, jej cele i metody tkwią całkowicie jeszcze w życiu dawnem, doby dla młodego pokolenia zamierzchłej; pokolenie młodsze — to czynny uczestnik prądu życia światowego, charakteryzowanego przez ogromne zdobycze techniki, przez komunikacyjne zespolenie świata, przez ogromne zbiorowiska ludzi w stale rosnących miastach i przez wielkie skomplikowanie organizacyj ludzkich. Chcieć, by młodzież dzisiejsza tak samo, jak przedwojenna nastawiona była na sprawy przedewszystkiem literackie i historyczne, znaczy nie liczyć się zupełnie ze zmianą psychiki, która zaszła w umysłach nowego pokolenia wskutek odzyskania niepodległości i przebycia wojny. Pokolenie starsze rozumie częściowo tę odmienność życia psychicznego młodzieży, tkwi jednak przeważnie w nabytych poprzednio nawyknieniach myślowych i stąd cały szereg nieporozumień i jedno z głównych źródeł kryzysu szkoły.

Bardzo doniosła sprawa to zagadnienie s e l e k c j i m ł o d z i e ż y. Współczesną Polskę cechuje niezwykły pęd do oświaty, do szkoły. Nie posiadam pod ręką potrzebnych danych statystycznych, nie mogę więc w chwili obecnej poprzeć cyframi tej niewątpliwej prawdy, że w porównaniu z okresem niewoli posiadamy wprost olbrzymią liczbę młodzieży, kształcącą się w szkołach różnych typów. Niestety, tej znacznej liczbie uczniów nie odpowiada potrzebna ilość typów szkół. Pod tym względem w niepodległej Polsce nastąpiło uwstecznienie, w porównaniu z okresem z przed wojny. Dziś mamy właściwie jeden tylko typ szkoły średniej ogólnokształcącej, zarówno dla dziewcząt, jak chłopców, a mianowicie ośmioklasowe gimnazjum. Kilka prywatnych liceów 6-klasowych nie zmienia istotnego obrazu rzeczywistości, a różnice między poszczególnemi typami gimnazjów: humanistycznym, matematyczno-przyrodniczym i klasycznym są zbyt nikłe, aby można było mówić o istotnej odmienności typu. Wobec tego cała masa młodzieży, kształcąca się w szkole średniej ogólnokształcącej, niezależnie od swych indywidualnych uzdolnień, przygotowania uprzedniego, warunków otoczenia domowego, warunków materjalnych, zapełnia szkoły średnie ogólnokształcące, stanowiąc zespół niesłychanie różnolity, w wielu wypadkach uniemożliwiający nauczycielowi celową pracę.

Dokładniejsza selekcja młodzieży w szkole średniej jest niemożliwa, gdyż sprowadziłaby się do usunięcia mniej nadających się z gimnazjum, a więc wytworzyłoby masę wykolejeńców życiowych, bez przygotowania do życia, a mających zamkniętą drogę do dalszego kształcenia. Tak popularne hasło skierowywania takich wykolejeńców do do szkół zawodowych niełatwe jest do wykonania. Pomijam sprawę zepchnięcia szkoły zawodowej w ten sposób do poziomu jakiegoś czwartorzędnego, przeznaczonego jakoby dla matołków, co niewątpliwie nie stanowi dla szkoły zawodowej siły atrakcyjnej i jest krzywdzące; są inne trudności. W szkole zawodowej z powodzeniem kształcić się może tylko młodzież o specjalnych uzdolnieniach i zamiłowaniach, dostosowanych do typu tej szkoły. Wobec niedostatecznie rozwiniętej sieci szkolnictwa zawodowego i tam trafia wiele młodzieży niepowołanej i w rezultacie szkoła zawodowa też musi stosować selekcję, bardzo w rzeczywistości utrudnioną.

Selekcja w szkole średniej nie może więc polegać tylko na usuwaniu. Dziś jest już rzeczą oczywistą, że Polska posiadać powinna szkoły średnie, conajmniej dwóch typów: ośmioklasowe gimnazja, których ukończenie daje prawo wstępu do szkół akademickich, oraz sześcioklasową szkołę nowego typu o pełni uprawnień w służbie wojskowej i cywilnej, dającą swym wychowankom ponadto prawo wstępu do wyższych, ale nie akademickich szkół zawodowych. Takie zróżnicowanie szkoły średniej ogólnokształcącej umożliwiłoby istotną selekcję młodzieży, a równocześnie pozwoliłoby ekonomicznie zużytkować budynki szkolne, pomoce naukowe i siły nauczycielskie. Dla każdego, mającego stały kontakt ze szkołą średnią, który widzi ustawiczne bezpłodne wysiłki dziewcząt czy chłopców, aby przebrnąć np. przez jakiś urywek z pism filozoficznych Cycerona, gdzie nie rozumieją wyrazów, nie mogą pojąć konstrukcji zdania, ani form gramatycznych, ani wreszcie trudnej myśli autora, albo też niezdarne rozumowania i chęć oparcia się o jakieś szablony przy nieco zawilszej dyskusji matematycznej, konieczność zróżnicowania typu obecnej szkoły średniej ogólnokształcącej nie ulega już żadnej wątpliwości.

Dla przeprowadzenia istotnej selekcji młodzieży szkolnej trzeba nadto znacznych ś r o d k ó w f i n a n s o w y c h. Udostępnienie każdemu właściwej szkoły, czyli istotne jej zdemokratyzowanie, nie może być rozpatrywane tylko w płaszczyźnie t. zw. szkoły jednolitej. Nie dosyć jest dać dziecku prawo wstępu do szkoły tego lub innego typu. Trzeba mu dać faktyczną możność uczęszczania do szkoły właściwej, a to uskutecznić można tylko przez gęstą sieć burs, otwieranych przy szkołach rozmaitych typów. Przy obecnym stanie rzeczy, kiedy ogromna większość obszaru naszego kraju pozbawiona jest burs, swoboda wyboru przez rodziców szkoły, typu odpowiedniego dla uzdolnień dziecka jest przeważnie fikcją. Względną swobodę w wyborze typu szkoły ma tylko mieszkaniec większego miasta, choć i tu często decyduje przypadek. Mieszkaniec małego miasta, czy wsi posyła dziecko do szkoły na miejscu, lub najbliższej, jedynej dla niego możliwej, bez względu na typ i bez względu na uzdolnienia syna czy córki. Jakże często dziecko do tej właśnie szkoły się nie nadaje! I cóż tu pomogą rady dyrektora, czy nauczycieli, którzy najżyczliwiej wskazują inną szkołę, jako odpowiedniejszą, skoro rodzice nie mają możności kształcenia dziecka gdzieindziej. I jak w tych warunkach mówić o selekcji?!

Wszystko dotychczas powiedziane dotyczy przedewszystkiem szkoły państwowej. S z k o l n i c t w o p r y w a t n e w zasadzie ma większą swobodę, ma możność układania programów własnych, odmiennych od programów szkół państwowych, ma możność stworzenia nowych typów szkoły i wypróbowania ich, ma nawet o wiele większe, niż szkoła państwowa, możliwości przeprowadzenia se-

lekcji uczniów. Nawet więcej: szkoła prywatna ma nietylko prawo do odchyleń i wstępowania na własną drogę, ale w enuncjacjach urzędowych Ministerstwa W. R. i O. P. jest nawet do tego zachęcana. A jednak ta swoboda jest tylko pozorna. Wszystko rozbija się o kwestję t. zw. uprawnień. Szkoła prywatna, zupełnie nowa w zakresie typu i programu, niewątpliwie musiałaby istnieć lat szereg bez uprawnień i dopiero osiągnięte przez nią dodatnie wyniki mogłyby skłonić władze szkolne do nadania jej praw pewnej kategorji. A czy szkoła prywatna bez praw wogóle istnieć może, wydaje mi się rzeczą istotnie wątpliwą. Nie możemy więc oczekiwać od szkoły prywatnej inicjatywy w kierunku stworzenia w Polsce nowej szkoły. Inicjatywa ta musi należeć do władz szkolnych w formie, którą te władze uznają za najwłaściwszą. Czy będzie nią stworzenie w każdym okręgu szkolnym po jednej lub kilka państwowych szkół doświadczalnych, przeprowadzających eksperyment w pewnym określonym kierunku — był przed kilku laty taki właśnie projekt w Ministerstwie W. R. i O. P. — czy odrazu ustali się nowy typ pod względem programu i przekształci część istniejących gimnazjów na szkoły nowego typu, czy wreszcie władze szkolne wejdą w porozumienie z szeregiem szkół prywatnych i okazawszy im pomoc zachęcą do przeprowadzenia doświadczeń programowych własnych lub zaproponowanych przez Ministerstwo W. R. i O. P., to już rzecz techniki wykonania. Dla opanowania kryzysu szkoły średniej jest to jednak koniecznością.

Reasumując wszystko dotychczas powiedziane, stwierdzam, że w skargach na dzisiejszą szkołę średnią jest niewątpliwie bardzo wiele słuszności, chociaż niejednokrotnie potępianie jest raczej wynikiem nieporozumienia: uznaje się szkołę za złą, gdy ona jest tylko inna, niż ta, do której przywykliśmy. Podniesienie poziomu szkoły średniej zależy oczywiście od racjonalnego stworzenia programu tej szkoły, programu swoistego, opartego na tradycjach szkolnictwa polskiego, a dostosowanego do wymagań współczesności. Dokształcanie nauczycielstwa szkół średnich powinno być prowadzone na szeroką skalę. Jaki nauczyciel, taka szkoła! Nie dosyć jest jednak organizować kursy wakacyjne, świąteczne, metodyczne w ciągu roku szkolnego, ale trzeba nauczycielowi udostępnić to dokształcanie przez stypendja i zapomogi na kształcenie. Wreszcie jako ostatni wielkiej wagi środek podniesienia naszej szkoły średniej uznać musimy selekcję młodzieży szkolnej. I znowu selekcja ta nie może polegać tylko na usuwaniu młodzieży mniej zdolnej, czy pracowitej, ale oparta być musi o sieć szkół różnych typów, dostatecznie zróżnicowanych, by wszelkie uzdolnienia mogły w nich znaleźć właściwe ujście. Szkoły powinny nadawać swoim wychowankom właściwe uprawnienia w służbie wojskowej i cywilnej, oraz otwierać drogę do dalszego kształcenia, gdyż tylko w ten sposób stworzy się szkołę dla wszystkich dostępną i uniknie się niesłusznego uprzywilejowania jednych, a upośledzenia innych. W końcu dla racjonalnej selekcji młodzieży w szkołach odpowiednich dla niej typów niezbędne jest zakładanie burs przy szkołach i fundowanie stypendjów w tych bursach.

Z. F.

NAUKA I LITERATURA

ROCZNICA DOSTOJEWSKIEGO

W LUTYM r. b. mija 50 lat od śmierci Teodora Dostojewskiego († 6. II. 1881), wielkiego pisarza i myśliciela rosyjskiego.

Był on dla jednych — jak stwierdza — wielkim orędownikiem „poniżonych i pokrzywdzonych", dla drugich — prorokiem „nowego chrześcijaństwa", dla innych — głosicielem rosyjskiej idei mesjanistycznej i przedstawicielem prawosławia, jeszcze dla innych — zwiastunem rewolucji.

Dostojewskiego wywodzono z ducha Heraklita (Mereżkowskij). Nie bez słuszności. Twórczość jego przenika ogień walk, ruch, nieustanne i intensywne dążenie do poznania duszy człowieka. Genjalny dialektyk i metafizyk wierzył w ciągłą walkę Boga i szatana na dnie duszy ludzkiej, która jest poem tej walki i zagadnieniu temu poświęcił większość swych książek. Dostojewskij jest autorem głośnego twierdzenia, że „piękno zbawia świat". Piękno jednak pojmuje inaczej, niźli to był uczynił Platon. Piękno jest ideą dwoistą, biegunową, tragiczną w swoim odśrodkowym i dośrodkowym ruchu. Niema pokoju w duszy ludzkiej, niema pokoju w pięknie. W niem „schodzą się wszystkie brzegi, wszystkie sprzeczności w niem drzemią". Dostojewskiego męczyła myśl, że piękno tkwi nietylko w ideale Madonny, lecz i w ideale sodomskim (Stawrogin). Tę tragiczną sprzeczność i to tragiczne dążenie, zarówno Dostojewskiego jak i wogóle natury ludzkiej — odmalował Mereżkowskij w ciekawej książce „Tołstoj i Dostojewskij". Sądzi on, że Dostojewskij przepowiedział kryzys duchowy w swych dziełach, przeniknętych „atmosferą apokaliptyczną", a przepowiedział go głębiej i pełniej, niż Nietzsche, „znał bowiem to, co znał Nietzsche i znał także to, czego Nietzsche nie znał" (Bierdiajew).

Nas, świadków rewolucji bolszewickiej, musi szczególniej dziś interesować jej zwiastun. Nie ulega bowiem wątpliwości, że to, co ciałem się stało, miało w Dostojewskim i sędziego i proroka. Tworząc „Biesy", spoglądał Dostojewskij w przyszłość. Ludzie „Biesów", to ludzie naszego stulecia. Ich wątpliwości, walki, myśli, dążenia i metody — to rzeczy, z jakiemi empirycznie Dostojewskij spotkać się bodaj nie mógł. Znajomość duszy rosyjskiej wzniosła go do wizji, której kształt realny oglądaliśmy już naszemi oczyma. Rewolucję rozumiał Dostojewskij jako walkę złych z dobrymi, w której antychryst — udaje Chrystusa. Rewolucja rodzi się ze zwątpienia. Chce ona ocalić ludzkość „nie Chrystusem, lecz gwałtem. To także wolność przez gwałt, ocalenie przez miecz i krew". Jej hasła: „nie śmiej wierzyć w Boga, nie śmiej mieć własności, nie śmiej mieć indywidualności *„fraternité ou la mort*, dwa miljony głów" („Idjota", str. 584, wyd. Marksa). Rewolucja przyjść musiała, gdyż „djabeł jednako rządzi ludzkością do granicy czasów jeszcze nam nieznanych", a „prawa samozburzenia i samoocalenia są równie silne" (*Ibid*, 404). Rewolucja jest dzieckiem wolności, która jest matką wszelkiego zła. Bez wolności jednak niema dobra, które jest także dzieckiem wolności. Wolność jest irracjonalna i dlatego może ona rodzić dobro i zło. Gdy wolność przechodzi w samowolę, samowola wiedzie do zła, a ono do przestępstwa (i kary). To zagadnienie jest najważniejsze w twórczości Dostojewskiego, który uczy, że człowiek ma wolną wolę wyboru. Dostojewskij walczy namiętnie z poglądem, według którego złym lub dobrym rodzi się człowiek (dziedziczenie, lombrosowski „zbrodniarz urodzony") — w imię godności człowieka; jeśli nie jest on istotą odpowiedzialną — to wogóle niema człowieka, ni Boga, jeśli niema wolności, niema dobra i zła. Wybór zła jest dowodem nienawiści do Boga, którego podobieństwo, jako ojca, kochamy w każdym człowieku. Kochać człowieka, nie wierząc w Boga — jest to jakby ogłoszenie człowieka

Bogiem. Niechr- ześcijańska miłość bliźniego jest zatem oszustwem („Br- acia Karamazowy“.)

jeszc- tując niektóre poglądy Dostojewskiego wspomnieć -ze należy o jego wpływie. Dla Rosjan stał się objawieniem pełnej sprzeczności duszy rosyjskiej, zwłaszcza z końcem ubiegłego stulecia, kiedy to po kryzysie pozytywizmu i materjalizmu zaczęły przenikać do Rosji nowe prądy religijne i idealistyczne. Od tego czasu wpływ Dostojewskiego wzrasta nieustannie. Na zachodzie, gdzie znajomość i popularność autora „Zbrodni i kary“ szerzy emigracja rosyjska — uznanie dla pisarza, o którym mówi się i pisze coraz więcej, dochodzi — jak to jest we Francji — aż do kultu.

T. B. S.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Nakładem Kasy im. Mianowskiego (Instytutu Popierania Nauk) wydano studjum Marjana Tyrowicza p. t. „Jan Tysowski, dyktator krakowski w r. 1846. Działalność polityczna i społeczna 1811—1857 r.“ Autor daje objektywny, oparty na źródłach archiwalnych, opis przeżyć politycznych tego dyktatora na tle zdarzeń i prądów czasu.

Tysowski był wodzem i dyktatorem ruchu niepodległościowego raczej z imienia. Nie mianowanym, ani wybranym już choćby z tego powodu, że pod obcym zaborem i w gorączkowym chaosie organizowania się, władza ta nie mogła być ustanawiana formalnie. Był dyktatorem z przypadku, a bądź co bądź więcej od innych posiadał zmysłu organizacyjnego i wytrwałości. Typowa to postać ery wiosny ludów.

Rewolucjonista-manjak, wymykający się ze zręcznością kuglarza z sideł policji. Śmiały, — jako oficjalista dóbr w powiecie tarnowskim tworzy komitet rewolucyjny w Tarnowie, w centrum szpiegów i prowokatorów pod kierunkiem osławionego starosty Breinla, podżegacza galicyjskiej rzezi, rabacji. Udaje mu się zjednać licznych zwolenników dla ruchu niepodległościowego, zaufanie emigracji i pieniądze. Pracowity, po całych nocach układa projekty administracji przyszłej niepodległej Polski i uwłaszczenia włościan, „ustawę rewolucyjną“, później w Krakowie mianuje ministrów, a zapomina o planie strategicznym dla wojska. Po nieszczęśliwych utarczkach oddziałów powstańczych składa broń w ręce Prusaków, w śledztwie w Königsteinie „sypie“ wspólników organizacji, a zwolniony z więzienia wyjeżdża do Ameryki.

Studjum p. Tyrowicza gruntowne, rzetelne, świetną metodą naukową dobywa z pyłu sądowych foljałów postać tego dyktatora, niefortunną i tajemniczą. I z suggestją żywego talentu ukazuje przewrotność rządu austrjackiego w tej epoce śledztw, więzień, cenzury, fałszu i przemocy. (A. W.)

ZE SWIATA SZTUKI

ZACHĘTA: W. WEISS

(Recenzja wyjątkowo w formie djalogu)

A. No, chodź, obejrzymy Weissa. A jest tego sporo, aż dwie sale, przeszło 50 obrazów.

B. Tak dużo? Wiesz, ja nie zawsze mam zaufanie do artystów tak płodnych, częstokroć jakość ustępuje w tym wypadku miejsca ilości.

A. W takim razie Weiss jest wyjątkiem. Maluje bardzo dobrze. Pozatem muszę ci zaznaczyć, że na wystawie znajdują się obrazy z najrozmaitszych okresów.

B. Tak? Więc dlaczego niema o tem żadnej wzmianki w katalogu? Nie wadziłoby przecież wydrukować daty powstania poszczególnych dzieł.

A. Oczywiście. Zachęta, niestety, nie uważa tego za potrzebne. Będziemy więc sami zgadywali. No, ale co powiesz o Weissie?

B. Czy on maluje tylko akty, pejzaże i martwe natury z kwiatów lub owoców?

A. Powiedziałeś „tylko“. Czy jesteś może zwolennikiem tak zwanej „treści“ w malarstwie, treści, o którą tak kruszy kopję Cieślewski w tygodniku „Jutro“? Nie myślę naturalnie o anegdocie.

B. Jestem przedewszystkiem zwolennikiem dobrze malowanych obrazów.

A. Przedewszystkiem, a więc nietylko?

B. Tak. Lecz z drugiej strony uważam za błędne stanowisko krytyka, gdy ma pretensję, że artystę pasjonują te, a nie inne zagadnienia. W pogoni za tem, czego nie mamy, moglibyśmy utracić skarb może mniejszy, ale już posiadany. O wielkości dzieła mówi nie wielki temat, ale to, co artysta zdołał w nim zobaczyć. Czy znasz opowiadanie Prusa: „Kamizelka“? Kamizelka, łachman, „martwa natura“, a jednak przez jej dziury Prus potrafił nam pokazać największą rzecz: miłość.

A. Najzupełniej zgadzam się z tobą. Ale właśnie taka miara dla sztuki Weissa może okazać się niebezpieczną. Czy dla niego najulubieńszy temat—akt, jest odskocznią w jakieś inne światy, choćby najbardziej z plastyką związanym, ale tylko pretekstem? Oczywista, to pretekst, ale w zupełnie innem znaczeniu. Pretekst do nasycenia swego wiecznego głodu barw, zmysłowej rozkoszy obcowania z olejną farbą.

B. To, co o nim powiadasz, zbliżałoby Weissa do pewnego odłamu całkiem współczesnego malarstwa.

A. I niewątpliwie tak jest. Z racji swego wieku i środowiska, w którem tworzy, Weiss należy do tak zwanej szkoły krakowskiej; gdyby stanął w gronie dzisiejszej utalentowanej młodzieży, nie wyglądałby bynajmniej na staruszka. Nietylko z powodu żywotności swego talentu, lecz także dla rodzaju uprawianego malarstwa. Muszę jeszcze dodać, że niektórzy z tych młodych lubują się poprostu w samym sporcie babrania się farbą i nie wychodzą poza nie; Weiss maluje z niemniejszą satysfakcją, traktując jednak przytem każde pociągnięcie pendzla jako cegiełkę w budowie obrazu.

B. Mówiąc o budowie, nie miałeś chyba na myśli kompozycji malowidła?

A. Nie, raczej samo lepienie kształtu. Weissa zaliczają do impresjonistów, zwróć uwagę na to, jak ten impresjonista dobrze rysuje, jak stawia kształt zapomocą barwy.

B. *A propos* impresjonizmu, czytałem kiedyś, że Weiss nie upozowuje modela, nie układa i nie wygina mu członków w sposób wymuszony. Woli podpatrywać figurę ludzką w chwiach odpoczynku, aby notować bezpośredni wdzięk odruchów naturalnych. A więc zdanie się na łaskę przypadku? Klasyczny impresjonizm, co?

A. Impresjonizm? Być może. Ale o łasce przypadku niema mowy. Z szeregu przypadków wybiera się tylko ten odpowiedni.

B. Teraz, kiedyśmy już tyle obejrzeli, możebyś mi powiedział, co ci się najwięcej podobało?

A. Czy ja wiem... chyba portret tej pani w palcie i blado niebieskim berecie, z pieskiem na ręku.

B. Portret Aneri?

A. Tak, nie akty, ale to właśnie. Również dobre w kolorze, jak i inne obrazy, lecz przytem jakże ściszone i szlachetne w swej subtelności! No, a ty cobyś wybrał?

B. Pewno któryś z pejzaży. Są jeszcze bardziej wyrafinowane w barwie, niż akty. Naprzykład ten p.t. „Bielizna“.

A. A co ci się nie podoba?

B. Jeden duży obraz; kompozycja nazwana: „Koza, pies i dziecko“.

A. Dlaczego?

B. Bo zgubiony w kolorze. (W. P.)

OD WYDAWNICTWA

Wskutek zażaleń odbiorców prowincjonalnych, że „Myśl Narodowa“ niezawsze dochodzi ich rąk przed niedzielą, przyśpieszyliśmy o jeden dzień ekspedycję pisma. Wysyłane obecnie w czwartek, powinno wszędzie w sobotę być na miejscu i tego od poczty należy się domagać. To samo tyczy sprzedaży detalicznej, w której przewodniczy firma „Ruch“.

Upraszamy przyjaciół pisma, a są nimi wszyscy chyba nasi prenumeratorzy, aby zechcieli uregulować zaległości i zawczasu odnowić przedpłatę na kw. II. W tym celu załączamy czeki na P. K. O. nr. 3105.

Ponieważ czasy są ciężkie, nie możemy sobie pozwolić na wysyłanie egzemplarzy, nieopłaconych przez czas dłuższy. Ktoby nie mógł wysłać należności zaraz, raczy powiadomić o tem kartką administrację.

Bardzo będziemy wdzięczni za jednanie prenumeratorów nowych między znajomymi.

OFENSYWA

SAUERWEIN & HANDELSMAN

PARYSKI Ehrenberg, p. Sauerwein z „*Matin*'a", to osobistość bardzo podejrzana. Niedawno bawił w Wiedniu. Wywiady i bankiety. Wtedy któreś pismo napomknęło, tak sobie mimochodem, że niby... właściwie... podobno: żyd. Oczywiście nic zdrożnego, ale tak sobie charakterystyczne tylko: Ten brunet, tamten się jąka, ów utyka na nogę, a tamten: żyd *gente judaeus*. A tymczasem filar „*Matin*'a" i lewa ręka (mańkut) Brianda odr zu oburzony, że niby nigdy w świecie i nic podobnego. Aczkolwiek bywa w Genewie na wszystkich *assemblé*'ach Rady Ligi, jednak nie żyd. I odrazu dał duży wywiad do wiedeńskiej prasy, który to wywiad skwapliwie przetłumaczył „Nasz Przegląd". Zasadniczo zadeklarował, że antysemityzm jest „hańbą stulecia". *All right!* Ale zaraz potem, że on nic a nic nie ma z żydostwem wspólnego! I potem czytamy dosłownie:

„Rodzina jego pochodzi z Tyrolu, a jeden z jego przodków był archiwarjuszem cesarza Maksymiljana".

Dosłownie: archiwarjusz cesarza Maksymiljana! Poczem tak mówił Tyrolczyk Sauerwein:

„We Francji kwestja rasy — oświadczył Sauerwein — nie odgrywa żadnej roli, co się niestety nie da powiedzieć ani o Niemczech ani o Austrji. Jako rodowity Aryjczyk, Sauerwein nie rozumie wprost antysemityzmu, który zdaniem jego jest hańbą i skandalem, cofającym Europę w czasy średniowieczne. Nie może o tej sprawie spokojnie mówić, jeśli bowiem w dziesięć lat po wojnie, w której żydzi wszystkich krajów spełnili rzetelnie swe obywatelskie obowiązki, czyni się ich odpowiedzialnymi za czyny kilku żydów w Rosji, jest to rażącą niesprawiedliwością".

Ślicznie.. „Nie może o tej spokojnie mówić"... Tyrolczyk... „rodowity Aryjczyk"... p. Jules Sauerwein. No i jeszcze dalej:

„Sauerwein żył we Wiedniu przez cztery lata i obserwował tamtejsze stosunki. Z podziwem mówi o wielkiej pracy, jaką Żydzi włożyli w rozwój kultury pięknej austrjackiej stolicy. Próba więc wyeliminowania Żydów jest nie tylko idjotyzmem, ale wprost zbrodnią".

Więc nie tylko i d j o t y z m e m, ale nawet z b r o d n i ą.

Dobrze. Pięknie. Ale poco zaraz wpadać w taką furję, jak się mówi o antysemityzmie, kiedy się jest z pochodzenia „Tyrolczykiem" i prawnukiem „archiwarjusza cesarza Maksymiljana", ewentualnie może... Ferdynanda... a czy nie lepiej by było Rudolfa?..

No a teraz malusieczki komentarz. Kiedy lat temu sześć dostałem się fortelnie do ślicznego Kowna i spacerowałem sobie *incognito modo*, uderzyło mnie to, że na trzech szyldach kolejno widzę napisy firmy: „Sauerweinas".

Wstępuję tedy do jednego takiego i to na pryncypalnej Laiswe-Gate i po kupieniu czegoś odrazu w rozmóweczkę z familją starozakonników, czy nie słyszeli kiedy o takim sławnym redaktorze w Paryżu? Na obliczach radość i duma... A to nasz b l i s k i krewny.. Do Wiednia się przeniósł... Bogaty. Ale tu nie przyjeżdża nigdy...

Bajeczna rasa. Cudna. Więc poprostu „Litwak", „Litwak"... Nie tyle Tyrolczyk, co Litwak... Ale dlaczego „*ausgeruchnet*" Maksymiliana?... dlaczego Maksymiliana?... A w Paryżu gra na pierwszych skrzypcach (Amattiego). W Genewie... trzeba się meldować. Curzona klepał po plecach. *How do you do Chamberlain?*

W Pitrze cesarskim wydawcą przepotężnych „*Birżewych Wiedomosti*" był niejaki Propper... Teraz świeżo wyszły po śmierci jego „Pamiętniki" po niemiecku, które polecam do lektury wszystkim naszym *prominents*.

Ten Propper nigdy nie nauczył się dobrze po rosyjsku. Z pochodzenia był krakowianinem. Ale z narodu wybranego. Znaliśmy go dobrze i uważali nieco za „*myszugge*" a nieco za głupkowatego...

Od r. 1904 do r. 1914 trząsł Rosją... Cudowna, bajkowa rasa te—Tyrolczyki.

* * *

„Bajeczną karjerę" i radosną twórczość profesora Wszechnicy Warszawskiej dr. Marcellusa Handelsmana ostro a wziętliwie prześwietlił niedawno, i to z tego samego obozu idący, niespożyty pogromca Endecji p. Władysław Studnicki.

Ten pan Handelsman jest bowiem istotnie nieco irytujący. Stale bowiem wysuwa się na pierwszy plan i w oczach „szerokiej inteligencji" uchodzi obecnie za pierwszy autorytet naukowy, historyczny. Wschodzi wszędzie tam gdzie go nie posieli. Jeździ to tu, to tam i „reprezentuje". Obrotny za dziesięcin, wygadany za dwudziestu i zawsze w stylu „*Jojne der Besserwisser*".

W listopadzie zeszłego roku, z okazji stulecia, był w Warszawie „zjazd historyków" całkowicie pod patronatem sanatorjum dla nieuleczalnych (solenizantów). W zjeździe nie wzięli udziału: Sobieski, Tokarz, Kukiel, Konopczyński, Balcer, nawet Askenazy, i wielu, wielu innych, ale natomiast zjechało się kilkuset profesorów gimnazjalnych, przyczynkarzy i zwykłych belferków. Wygłoszono sto referatów tuzinkowych, a rej wiódł i batutę dzierżył usanowany Handelsman. I skorzystał z takiego zlotu p. Handelsman, aby po 15 latach tajonej, dławionej nienawiści zemścić się na... Askenazym, ten bowiem rąbnął go kiedyś, kiedy młodzieniaszek zadebiutował jakąś pracą. Mstliwy a zaciekły p. Handelsman (potwarca Anglji w r. 1916-tym, *tempore belli!)* przeczekał cierpliwie 15 lat i teraz dopiero w listopadzie r. 1931, przed takiem wielkiem, uroczystem audytorjum, to jest w „Polsce Zbrojnej" i w „Gazecie Polskiej", porachunki swe potrosze załatwił, chociaż przyznał Askenazemu, że posiadał „wielki talent literacki" (coś jakby *diminutivum*) i „działał suggestycznie" (*sic!* suggestycznie).

Zdenerwowało to atoli srodze wileńskiego wielbiciela prof. Askenazego, Władysława Giesberta Studnickiego, który w wileńskiem „sanacyjnem" „Słowie" tak oto, przy tej okazji, trafnie rolę prof. Handelsmana scharakteryzował:

„Musieliśmy tworzyć uniwersytety na poczekaniu, stąd napełniły się one tymi, którzy byli na miejscu i mieli odpowiednie stosunki. Pan Marceli Handelsman był w Warszawie i na bezrybiu naukowem tego miasta w okresie przedwojennym mógł uchodzić za rybę historyczną, był autorem kilku monografij, skleconych bez talentu, lecz bez rażących błędów... Na katedry naszych uniwersytetów, przy ich szybkiem powstaniu u zarania naszej niepodległości, napełzło dużo pasorzytów umysłowych. Każdy z nich zużywał potem całej swej energji, by nie dopuścić obok siebie ludzi twórczych, ludzi talentu..."

Brawo Gisbertus! Tym razem: „pięknie zaryczałeś lwie", jak mówią w „Śnie nocy letniej". Pięknieś napisał w „Słowie" „sanacyjnem" o tym sanatorze, wnet pewnie i senatorze, Jojne Besserwisserze, pouczając go, jak — się zachowywać powinien wobec starszego.

„Koleżanko Goldberżanko! nie mścijcie się tak uparcie!"

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

„Gazeta Polska" oświadcza w imieniu sanacji „opartej na poczuciu własnej wartości" (nr. 53): „Mandat z a u f a n i a, udzielony nam przez kraj w powszechnem głosowaniu, jest dla nas dostateczną podstawą w naszej działalności".

Niech żyje powszechne, równe, tajne, bezpośrednie i nieprzymuszone głosowanie!

*

Powieściopisarz legjonowy p. Kaden-Bandrowski, w przystępie dumy, którą napawa go radosna twórczość, nie bawiąc się w zbytnią skromność, wyrzekł (nr. 52 „Gaz. Pol."):

„Twierdzę.. że gdyby ktoś dziś ogłosił prozę powieściową, jakiej używał w swych współczesnych powieściach Sienkiewicz, czy Prus, czy Reymont, naraziłby się na zarzut — niedołęstwa".

Jednem słowem twórczość Sienkiewicza, Prusa i Reymonta była niedołężna. Literaci sanacyjni w tyle gorszem są położeniu od polityków, że nie mogą się powołać na poczytność, jako na „mandat zaufania", a politycy nie bardzo chcą się z nimi dzielić „dostateczną podstawą" materjalną, jaką zdobyli. Bandrowski usiłuje im zaimponować, aby powieść przynajmniej została upaństwowiona. Kiedyż nareszcie będzie ta Akademia! Wszędzie musi być jednak opozycja godna Brześcia. Oto jednocześnie w „Tęczy" ukazała się notatka, że p. Bandrowski pisze niechlujnie, na co przytoczono dowód w szeregu obrzydliwych germanizmów, co krok przez niego używanych.

*

„Sanacja", okazawszy w sposób dostateczny swój szacunek w stosunku do instytucji prawa wogóle, występuje w chwili obecnej, jako najbardziej powołana do... naprawienia jednego działu ustroju prawnego w państwie, mianowicie ustawy konstytucyjnej.

Podobnież właścicielka pokojów umeblowanych (wynajmowanych na godziny), powinnaby uważać się za najbardziej kompetentną do odegrania roli reformatorki... życia rodzinnego i sposobić się do opracowywania pożytecznych zmian w prawie małżeńskiem.

TREŚĆ: Dramat Konstytucji marcowej *St. L-skiego.* — Uwagi o aktualnym „Księciu" *J. Mosdorfa.* — Stosowanie sztuk *St Pieńkowskiego.* — Okresowość w psychice Kasprowicza *Z. Wasilewskiego.* — Założyciele *M. Gumilewa* (przekład *K. Symolewicza,* jr.). — Głosy: *Ruère in servitium, St. Pigańskiego;* Harcerstwo zagrożone *Zeta.* — Kryzys szkoły średniej w Polsce *Z. F.* — Nauka i literatura („Rocznica Dostojewskiego" *T. B S.* i t. d.). — Ze świata sztuki. — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego.* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich, Tel. 619-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.